

Janusz Barański

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej

„Arka” Józefa Iwańczaka – o pewnym spiskim muzeum rodzinnym¹

I would retort that what is wrong with the “old museology” is that it is too much about museum *methods*, and too little about the purposes of museums [Peter Vergo 1997: 3].

Tu było przecież tyle tych starych chałup, to tak wszystko poniknęło – nie ma nic. A tam cuda, skarby. No i poszło z dymem, bo to ludzie palą. Teraz już nie mają co palić [Irena Kucab].

Poniższy tekst miał – w zgodzie z zasadami metodologii badań etnograficznych – trafić do jego bohatera z zamiarem „nadania trafności przez respondenta”. Józef Iwańczak był bowiem nie tylko głównym źródłem wiedzy na poniższy temat, lecz również twórcą tytułowego muzeum rodzinnego. Zresztą jeszcze w trakcie opracowywania materiałów do tego tematu pojawiła się potrzeba uzupełnienia pewnych danych, ich pogłębienia czy pozyskania dodatkowych opinii. Nosilem się więc z zamiarem zwrócenia się do bohatera poniższego tekstu z prośbą o jeszcze jedno, końcowe spotkanie, służące uściśleniu niektórych kwestii, których nie udało mi się do końca rozstrzygnąć na podstawie posiadanej już wiedzy. Niestety, na spotkanie z nim udałem się jedynie w celu towarzyszenia mu w jego ostatniej drodze.

¹ Projekt został sfinansowany ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych na podstawie decyzji numer UMO-2017/25/B/HS3/00043.

Kiedykolwiek przychodziłem do pana Józefa na rozmowę zastawałem go zwykle ze słowacką gazetą w ręku, by następnie – przed główną częścią naszych rozmów o jego muzeum – spędzić jeszcze długą chwilę na dyskusji o bieżących sprawach polskich, europejskich, światowych, odnosząc się tym razem do polskich mediów. Jak większość mieszkańców Polskiego Spisza zajmował pozycję pomiędzy: słowackością, polsnością i jeszcze amerykańsnością (o czym będzie mowa dalej), pozostając przy tym przede wszystkim Spiszakiem (*Spisokiem*). Nie ośmieliłem się mu nigdy zadać pytania, być może prostackiego, z jaką narodowością ostatecznie się identyfikuje. Sam jedynie w trakcie rozmowy na inny temat wyznał nie przymuszany, że i jego ojciec, i dziad czuli się Słowakami. Jak część mieszkańców regionu na co dzień posługiwał się gwarą spiską, choć ze mną – nie proszony – starał się równać do literackiego języka polskiego, co widać zresztą w zarejestrowanych wypowiedziach z wywiadów zapisywanych w brzmieniu fonetycznym. Godny uznania wysiłek sprostania kompetencji językowej *pona z miasta* skutkowało często niekonsekwencją – naprzemiennym posługiwaniem się słowami i wyrażeniami gwarowymi i literackimi, czasem unikaniem mazurenia. Nie poczuwałem się do prawa wprowadzania tutaj jakichkolwiek korekt w transkrypcji, które miałyby formę językową ujednolicić (podobnie rzecz się ma z wypowiedziami innych rozmówców, którzy z różną frekwencją posługują się lokalną gwarą naprzemiennie z literacką polszczyzną). Jeszcze inaczej rzecz wygląda z jego prywatnymi zapiskami. Nasycone są one z kolei słowakizmami – leksykalnymi, gramatycznymi i ortograficznymi, nie tylko z powodu bieżącego kontaktu ze słowacką prasą, lecz zapewne głównie z powodu uczęszczania w okresie wojennym do słowackiej szkoły podstawowej. Ta osobność, nie tylko językowa, części mieszkańców regionu wybrzmiała również w trakcie nabożeństwa pogrzebowego pana Iwańczaka, którego liturgia odprawiana była po słowacku, lecz z elementami polskimi.

Mimo że Józefa Iwańczaka nie ma już między nami, postanowiłem zachować czas terażniejszy w odnośnikach do jego wypowiedzi. Mam zresztą nadzieję – pozwolę sobie na odrobinę patosu – że zyskał nieśmiertelność dzięki stworzonemu przez siebie dziełu. Oby przetrwało.

Kilka słów przypomnienia o kolekcjonowaniu i kolekcjach

Wejdz przeto do arki z synami twymi, z żoną i z żonami twych synów. Spośród wszystkich istot żyjących wprowadź do arki po parze, samca i samicę, aby ocalały wraz z tobą od zagłady. Z każdego gatunku ptactwa, była i płazu ziemnego po parze; niechaj wejdą do ciebie, aby

nie wyginęły. A ty zabierz sobie wszelkiej żywności – wszystkiego, co nadaje się do jedzenia – i zgromadź u siebie, aby była na pokarm dla ciebie i na paszę dla zwierząt [Księga Rodzaju 6, 18-21].

„Noe był pierwszym kolekcjonerem” – tym oto stwierdzeniem John Elsner i Roger Cardinal otwierają *Wprowadzenie* do tomu pod ich redakcją na temat kolekcjonowania (1994: 1). Mocna i sugestywna opinia dowodzi poręczności licznych obrazów biblijnych oraz ich ważności, które od niepamiętnych czasów służą metaforycznemu przedstawieniu genezy i istoty rozmaitych ludzkich spraw, podejmowanych wyzwań, wartości, idei i ideałów. Należy jednak przy okazji zauważyć, iż w perspektywie międzykulturowej wątek potopu obecny jest w tradycji wielu ludów, a w niektórych przypadkach znajdziemy i podobnych pra-kolekcjonerów (jest nim na przykład babiloński bohater Utnapisztim z *Eposu o Gilgameszu*). Noe nie miał wiele czasu: siedem dni – tyle dał mu Bóg. Wywiązał się jednak z trudnej misji, mimo swego podeszłego wieku – sześciuset lat. „Cokolwiek by przeoczył, zostałoby utracone na zawsze: nie było półśrodków pomiędzy włączeniem i wyłączeniem. Kolekcja jest jedynym w swoim rodzaju bastionem chroniącym przed potopem czasu” – komentują Elsner i Cardinal, upatrując w biblijnym obrazie zgoła archetypową potrzebę zbierania i zachowywania. I dalej: „Pasja Noego tkwi w pragnieniu ocalenia świata, ocalenia nie jedynie przypadkowych pojedynczych elementów, lecz wzorcowych par, z których mogą zostać zrekonstruowane wszystkie formy życia. Oto ocalenie w najmocniejszym sensie, nie jedynie przypadkowe przechowanie, lecz świadome ratowanie przed wyniszczeniem – kolekcja jako zbawcza misja” [1994: 1].

Susan Pearce książkę na temat kolekcjonowania w tradycji europejskiej otwiera uwagą, że istnieje potrzeba badania tego typu praktyk, gdyż mówią one coś o całości życia społecznego [1995: 3]. Nacisk na aspekt społeczny jest zrozumiały w wypowiedzi wyrosłej na gruncie heurystyki brytyjskiej antropologii społecznej. Poniższy tekst idzie w ślad intuicji brytyjskiej muzeolożki, mając za cel wykazanie, że kolekcjonowanie i jego formy nie tylko mówią coś o społecznym wymiarze środowiska ludzkiego (stosunkach społecznych, hierarchiach, rolach, kapitale społecznym itp.), w którym się je uprawia, lecz również o pamięci komunikatywnej i kulturowej, stosunku wobec przeszłości, tradycji czy potencjalnie twórczym, który jest źródłem rozmaitych praktyk kulturowych będących wyrazem potrzeby kontynuacji i/lub zmiany. Uprawianie kolekcjonowania służy rozumieniu świata wokół nas oraz pogodzeniu się z miejscem, które w nim zajmujemy [Pearce 1995: 25].

Pearce przywołuje pogląd Waltera Durosta, jednego z pierwszych teoretyków, który wypowiadał się na temat kolekcji:

Kolekcję determinują nade wszystko wartości, które przypisuje się obiektom, lub idee, które w nich się zawierają. Jeżeli dominująca wartość obiektu lub idea jest dla posiadacza czymś oczywistym, tzn. jeżeli przypisuje mu się głównie wartość użytkową, celowościową czy estetyczną lub też inną wartość istotną dla obiektu lub mu przynależną w dowolnych okolicznościach zwyczajowych, wyuczonych czy nawykowych, to nie mamy wówczas do czynienia z kolekcją. Natomiast jeżeli dominująca wartość jest reprezentatywna lub reprezentująca, tzn. jeżeli rzeczony obiekt lub idea jest wartościowany nade wszystko ze względu na jego związek z jakimś innym obiektem lub ideą czy też obiektami lub ideami w taki sposób, jak jednostkowy przypadek ma się do całej serii, część do całości, okaz do klasy, to mamy wówczas do czynienia z kolekcją [Durost 1932: 10; za: Pearce 1995: 20].

Uzupełniający pogląd formułuje sama Pearce w innym miejscu:

Obiekty, mając charakter materialny, zachowują związek ze światem „rzeczywistym”, z którego pochodzą, natomiast kolekcja jest metaforą tej „rzeczywistości”, marzeniem (*dream*), inskrypcją na powierzchni świata (*inscription on the world*). Kolekcje są wykwitem istniejących konstrukcji indywidualnych i zbiorowych, lecz również te konstrukcje wspierają i utrwalają. Kolekcja obdarzona jest własnym życiem, które pozostaje w szczególnie bliskim związku z życiem jej kolekcjonera, stąd też kolekcjoner postrzega ją, w bardzo dosłownym sensie, jako część siebie. Wszelako sednem tego związku jest ambiwalencja władzy – czasem kolekcjoner nadaje kształt kolekcji, a czasem ona nadaje kształt jemu. Innymi słowy, obiekty są zawsze zarówno aktywne, jak i pasywne. Kolekcje są rodzajem twórczości artystycznej jednostki poza nią samą, związkiem – po części – przeszłości i teraźniejszości oraz nadziei na przyszłość. Kolekcjonerzy odszukując to, co kochają, podejmują wysiłek samo-odkrywania i samo-afirmacji, co jest typowo ludzkie, a co bez względu na to, jak dalece jego tworzywo mogą postrzegać inni jako trywialne, samo w sobie nigdy trywialnym nie jest [1998: 66].

Z powyższych sugestii wynika, że kolekcjonowanie jest czymś innym niż zbieranie czy gromadzenie. W odróżnieniu od dwóch ostatnich zawiera ono element namysłu, posiada jakiś „racjonalny” cel przyświecający kolekcjonerowi. Wprawdzie psychologicznie różnica nie jest tutaj tak wyraźna, jak by to sugerowały użyte określenia, gdyż na przykład początki kolekcjonowania nie są bynajmniej zwykle wynikiem świadomie podjętej decyzji. Pearce podaje nieco wymyślony, choć nie nieprawdopodobny, przykład jej możliwej rodaczki, która w pewnym momencie zauważa, iż wiktoriańska biżuteria, którą odziedziczyła po różnych ciotkach, spo-

czywająca na dnie szuflady, stanowi ciekawy zbiór i być może warto rozejrzeć się za jakimś jego poszerzeniem: „Innymi słowy, obiekty mogą trwać przez jakiś czas w formie zróżnicowanego, a nawet skromnego zbioru, zanim ich kolekcjonerski potencjał zostanie dostrzeżony” [1995: 21].

Pearce rozróżnia trzy rodzaje kolekcji, na które składają się odpowiednio: pamiątki, fetysze oraz systematy (*systematics*) [1998: 69]. Pierwsze wiążą się z biografią jednostki czy jakąś grupą (rodziną, drużyną harcerską itp.), która jednak funkcjonuje jakby była pojedynczą osobą. Pamiątki wyrażają naszą przeszłość, nagromadzone zdarzenia, perypetie, emocje, które – czy tego chcemy, czy nie – pozostają w naszej pamięci. Pamiątki kojarzą się w pierwszym rzędzie z obiektami przechowywanymi w prywatnych domostwach: fotografiami rodzinnymi, biżuterią rodową, becikami niemowląt, kamykami przywiezionymi z romantycznych wakacji spędzonych nad ciepłymi morzami itp. W zasobach muzealnych znajdziemy przypadki takich kolekcji, przekazanych przez samego kolekcjonera lub rodzinę po jego śmierci, jak w przykładzie Pearce – zbioru trofeów myśliwskich pułkownika Charlesa Peela (*Exeter City Museum*), który na przełomie XIX i XX wieku polował na rozległych przestrzeniach Imperium Brytyjskiego [1998: 69]. W polskim przypadku można by wskazać, słynną szczególnie ostatnio, kolekcję Książąt Czartoryskich, która stała się własnością Muzeum Narodowego w Krakowie, czy kolekcję etnograficzną zgromadzoną przez Bronisława Piłsudskiego w trakcie jego zesłania na Syberię, którą opiekuje się krakowskie Muzeum Etnograficzne.

Fetysze składają się na kolekcje dużo bardziej zawężone i „wyspecjalizowane”, jak zbiory widokówek (raczej niezamożnych kolekcjonerów) czy przedmiotów pozostałych po znanej gwiazdce filmowej (raczej zamożnych kolekcjonerów). Pearce sięga tutaj po znany przykład kolekcji Zygmunta Freuda, który zgromadził około tysiąc dziewięćset antyków rzymskich, greckich, asyryjskich, egipskich i chińskich, wypełniających biurko i szafki dwóch pokoi jego wiedeńskiego gabinetu, w którym pracował; zabrał je zresztą ze sobą po przeprowadzce do Londynu [1998: 73]. Kolekcje tego typu wyrażają bardzo osobisty związek obiektów z wyobraźnią i przeżyciami kolekcjonera, który ich pożąda. To one zapewniają mu siłę przeżywanymi emocjami i to one wciąż zmuszają go do gromadzenia obiektów podobnych: „Cały ten proces to rozwinięcie zaborczej jaźni (*possesive self*), strategia pożądania, co po części tłumaczy określanie tego rodzaju kolekcjonowania jako fetyszystyczne” – konkluduje Pearce [1998: 81]. I one stają się czasem częścią zasobów muzealnych, jak na przykład kolekcja antycznych greckich rzeźb, która powstała na początku XVII wieku za sprawą Thomasa Howarda, dwudziestego pierwszego earla Arundel, a która stała się własnością *Ashmolean Museum* w Oksfordzie [Pearce 1998: 74].

Mamy wreszcie i systematy, które reprezentują kolekcje naukowe, zapoczątkowane u schyłku XVII wieku, które stały się wówczas elementem rewolucji naukowej i stanowią po dziś dzień – w niemal powszechnym mniemaniu – klasyczny przypadek kolekcji muzealnych. Pojęcie systematyki – wywiedzione z podejść biologii, botaniki czy geologii – jest tutaj naczelną kategorią porządkowania obiektów wedle kryteriów gatunkowych i rodzajowych. Pierwotny wzór ustalony został w rozlicznych muzeach historii naturalnej, jednak ten rodzaj taksonomizującego, „naukowego” rozumienia obiektów zakorzenił się na trwałe w muzeach wszystkich typów, nie wyłączając muzeów sztuki, gdzie dzieła wystawia się w zgodzie z uznanymi kryteriami szkół czy kierunków. Istota uporządkowanej kolekcji nie polega na gromadzeniu obiektów według dowolnych kryteriów, zdeterminowanych przez swobodny wybór kolekcjonera, ze względu na biografię czy fetyszystyczne nastawienia, lecz ich dobór poprzez empiryczną obserwację oraz racjonalną analizę i syntezę. Wywiedzione z tego „naukowe” ustalenia służą wypracowaniu reguł klasyfikacji danego fragmentu rzeczywistości – naturalnej lub kulturowej [por. Pearce 1998: 84–88].

Kilka słów o muzealnictwie poza muzealnictwem

Zwykle praktykę kolekcjonowania łączy się z kulturą europejską, kulturą Zachodu, która z racji swego autorefleksyjnego i autokrytycznego rysu miała dopracować się również rozmaitych form namysłu nad przeszłością, wpływającym czasem, zmianą – jakościami dostrzeganymi i konceptualizowanymi jakoby jedynie w świecie Zachodu. Czy jest tak w istocie? Czy kolekcjonowanie i kolekcje, które stają się czasem zasobem muzealnym, to domena jedynie tego świata właśnie? Znane nam dane historyczne zdają się podważać ten pogląd. Przywołuje je na przykład Christina Kreps – kolekcjonowanie to nie jedynie zachodnia praktyka, również pod postacią znacznych zbiorów, które należałoby określić muzealnymi. Różne formy kolekcjonowania to nie rzecz wyłącznie nowożytnych, zachodnich, często wyspecjalizowanych i sformalizowanych instytucji, będących emanacją racjonalnego ducha i samowiedzy historycznej. Przykłady znajdziemy bowiem w starożytnych Chinach – władcy chińscy tworzyli kolekcje malarstwa i kaligrafii już w III w. przed Chr. W późniejszych czasach na terytorium Indii tamtejsze galerie sztuki, *chitrashalas*, służyły celom edukacyjnym i dawania przyjemności obcowania ze sztuką – przypomina Kreps [2006: 457].

Być może niełatwo przyjąć do wiadomości, że oto Zachód nie koniecznie jest jedynym źródłem kolekcjonowania i – w konsekwencji – źródłem muzeum jako jego instytucjonalnego wypełnienia. Wprawdzie z punktu widzenia typologii

kultur w perspektywie dziejów można to jakoś zrozumieć – wszak cywilizacje chińską czy indyjską można postawić w tym samym rzędzie, co europejską. Każda z nich dopracowała się jakichś form państwowości, myśli politycznej, filozofii czy sztuki, choć w żadnym z tych przypadków nie sposób dopatrzeć się pełnej wzajemnej przekładalności. Niemniej okazuje się, choćby w ostatnim z nich, że wskazane praktyki kolekcjonerskie dowodzą istnienia pewnej dozy wspólnego mianownika w postaci na przykład refleksji na temat własnej spuścizny artystycznej. Człowiek Zachodu winien – wobec tego – podzielić się autorstwem tej unikalnej, wydawałoby się, formy aktywności, jakim jest kolekcjonerstwo, oddać sprawiedliwość współtwórcom, którzy wedle miar ilościowych przewyższali niegdyś dorobek Zachodu. Rzecz jednak w tym, iż dyskutowana praktyka to nie wyłącznie domena „wielkich cywilizacji”. To ostatnie określenie zostało celowo opatrzone cudzysłowem, z oczywistą dozą umowności, ale też – przyznając otwarcie – krytycyzmu, gdyż ma dać wyraz pokutującemu wciąż tu i ówdzie przekonaniu o supremacji niektórych, również historycznie ujętych, kręgów kulturowych. Dotyczy to i dyskutowanego tutaj przypadku.

Okazuje się zatem, że istnienie kolekcjonowania wskazać można i poza tymi „wielkimi cywilizacjami”. Sama Kreps podaje jego liczne przykłady z różnych części świata, czego ostateczną konsekwencją jest istnienie całkiem licznych swoistych „muzeów tubylczych” (*indigenous museums*) [2006: 463]. Na przykład, w regionie Cross River w Afryce Zachodniej szczególnie ważne maski rytualne oddawane były na przechowanie i w opiekę reprezentantowi starszozy lub osobie darzonej wyjątkowym szacunkiem. Z kolei w społecznościach tubylczych całego Archipelagu Malajskiego wznoszono nawet specjalne domy, w których przechowywano rozmaite stare przedmioty i sprzęty, zmumifikowane głowy wrogów, pamiątki po przodkach czy symbole rodowe [Kreps 2006: 460]. Na Sumatrze, gdzie Kreps prowadziła badania, mimo ofensywy islamu i chrześcijaństwa wciąż praktykuje się dawny zwyczaj przechowywania szczególnie cennych przedmiotów (*sacred objects*), na przykład pamiątek rodzinnych (gongów, bębnow, naczyń mosiężnych czy cenionej chińskiej porcelany). Kolekcje takich przedmiotów wciąż można znaleźć na strychach domów, w spichlerzach ryżowych czy stodołach. Zwłaszcza spichlerze traktowane są tradycyjnie jako miejsca uświęcone, stąd też tam głównie znajdują miejsce przeznaczenia równie cenne dobra. Współcześnie niemal każda rodzina posiada swój własny spichlerz, dawniej jednak w użyciu był tylko jeden, wspólnotowy, w którym przechowywano przedmioty rytualne oraz pozyskane jako grzywna za złamanie zwyczajowych praw. Jeden z informatorów badaczki porównał wręcz wprost spichlerz do „tradycyjnego muzeum” – specjalnego miejsca, w którym

wyjątkowe przedmioty są przechowywane i podlegają opiece i ochronie, by je przekazać przyszłym pokoleniom. Również na wschodnich Wyspach Salomona w do tego przeznaczonych domach (*custom houses*) przechowuje się i wystawia wartościowe przedmioty. Domy te służą zresztą także funkcjom edukacyjnym, na przykład praktykowania i nauczania form lokalnych tradycji i sztuk plastycznych [Kreps 2006: 461].

Podobne miejsca, specjalne tradycyjne domy mężczyzn (*haus tambaran*), które służą spotkaniom mężczyzn i odprawianiu rytuałów inicjacji, istnieją również w regionie Sepik w Papui-Nowej Gwinei. Są to – jak określa Kreps – „sakralne repozytoria, w których obiekty pozostają pod rytualną ochroną”. I dodaje dalej: „*Haus tambaran* pełnią również funkcję warsztatów, w których wytwarza się obiekty rytualne i dzieła sztuki, jak również służą za miejsca ich wystawiania i przechowywania. Konstrukcyjnie zaprojektowane do przechowywania wartościowych obiektów oraz przekazywania najmłodszym pokoleniom wiedzy o plemiennej historii, wierzeniach i praktykach kulturowych, *haus tambaran* są ważnymi ośrodkami przekazu lokalnej wiedzy kulturowej” [2006: 462]. Oczywiście, by tę funkcję poprawnie spełnić, składające się na nie obiekty muszą być dostępne w sensie dosłownym – możliwości bezpośredniego z nimi obcowania. Stąd też artefakty te można dotykać czy oglądać. Elizabeth Bonshek podaje z kolei przykład ludu Iatmul z Papui-Nowej Gwinei, dla którego kolekcjonowanie jest trwałym elementem nastroju życiowego (*state of being*) dostarczającego ludziom doświadczeń służących zrozumieniu tego, co się wokół nich dzieje. Kolekcjonowane obiekty, inaczej niż w zachodniej tradycji, nie służą obrazowaniu klasyfikacyjnego systemu wiedzy, poprzez który rozumie się świat [Bonshek 2010: 7–8. Mamy tutaj do czynienia z inną epistemologiczną podbudową kolekcjonowania.

By wrócić do badaczki, która dostarczyła główną część powyższych ustaleń, Christiny Kreps, nie przypadkiem tekst, w którym omawia wszystkie te przypadki, zatytułowała *Non-Western Models of Museums and Curation in Crosscultural Perspective*. Zauważa wprawdzie, że wszystkie powyższe praktyki przypominają w pewnym zakresie struktury muzealne, kolekcje i swoisty kuratorial, to jednak nie są uznawane za takie w oglądzie zachodnim. Podkreśla, że w wielu takich przypadkach tubylczych quasi-muzealnych praktyk przechowywanym przedmiotom przypisuje się posiadanie życiowej energii czy duchowej mocy – w myśl swoistej animistycznej logiki nie tylko reprezentują duchy przodków, lecz są ich materialnymi wcieleniami. Zdarza się, że takie oddolne kolekcje, uświęcone lokalną tradycją, stają się – we współczesnej Indonezji, Melanezji czy na Alasce – kolekcjami muzealnymi w zachodnim rozumieniu tego słowa: sformalizowany-

mi, zinstytucjonalizowanymi i spatrymonializowanymi. Mimo zmiany statusu nie tracą jednak wskazanych „duchowych” walorów w odróżnieniu od muzeów zachodnich, w których artefakty są przedmiotem ochrony i afirmacji głównie ze względu na ich materialne, a nie duchowe czy nadnaturalne właściwości. W tamtejszych kolekcjach muzealnych, stworzonych z istniejących już tradycyjnych zbiorów, widzi się wciąż duchy przodków ich pierwotnych właścicieli, są często przedmiotem tabu czy zasobnikami magicznych mocy; podlegają zasadom specjalnego traktowania nie tyle z powodów formalno-prawnych, co kulturowych – często religijno-duchowych [Kreps 2006: 466].

Czy powyższe przypadki kolekcji o cechach protomuzealnych zbiorów, nie opatrywanych zresztą zwykle przez uczestniczące w ich tworzeniu społeczności takimi technicznymi terminami, to tylko rzecz odległych, „egzotycznych” peryferii świata współczesnego? Grant McCracken przedstawia całkiem współczesną i zachodnią formę muzealnego kolekcjonerstwa, uprawianą przez jedną z jego informaterek, Lois Roget, siedemdziesięcioośmioletnią mieszkankę stutysięcznego Gresham w prowincji Ontario. Lois pochodziła z rodziny farmerskiej, której historia sięga siedmiu pokoleń wstecz. Wprawdzie ona sama należała do pokolenia, które rozluźniło związki z tą tradycją – zdobywając wykształcenie i wyprowadzając się do miasta. Nie przeszkadzało to jednak w uczynieniu z miejskiego mieszkania rodzaju „muzeum” – takim określeniem posługuje się McCracken – i zgromadzeniu w nim znacznej liczby pamiątek obu rodzin: swojej i męża. Fakt ów oraz wyrażane wprost przywiązanie do wszystkich tych rzeczy, poczucie odpowiedzialności za nie, podyktowane było poczuciem zobowiązania wobec obu rodzin, należytego owych rzeczy „przechowywania, pokazywania oraz konserwowania” – pisze wprost McCracken (1990: 44). Jej rodzina miała bardzo silne poczucie ciągłości, a Lois silne poczucie związku z nią, dziedziczenia jej historii, wartości, ideałów; identyfikowała się zarazem z tradycją rodzinną męża.

Kanadyjski badacz podkreśla, iż zgromadzone rzeczy towarzyszyły nieustannie opowieściom Lois na temat sensu życia, jej rozumieniu rodziny, przywiązaniu do rodzinnego gniazda, relacjom z dziećmi. Całe bogate wyposażenie domu stało się rodzajem rodzinnego archiwum, rodzinnej historii zapisanej w rzeczach należących do licznych, nie żyjących już krewnych, które ujawniały swoją mnemoniczną moc. Opowieść o tym archiwum stała się zarazem równoczesną prezentacją drzewa genealogicznego obu rodzin: odległa w czasie ciocia z Anglii była przywoływana przez komplet talerzy, prababka zaś przez jej fotel stojący w salonie. Uwagi na temat poszczególnych rzeczy sprzyjały wywodom na temat zdarzeń z życia członków rodziny i ich charakterów; gdy dotyczyło to młodszych przedstawicieli

rodziny – związków, jakie łączyły ich z Lois. Ich historie i charakterystyki stały się z czasem stałymi elementami historii rodzinnych, przywoływanych podczas oglądania rzeczy, historii przedstawianych zresztą przez Lois w precyzyjny, niemal szkolny sposób – w końcu wypowiadała się nie tylko w swoim imieniu, lecz całej rodziny. Często wskazywała, że poszczególne przedmioty wiążą się z ważnymi uroczystościami rodzinnymi z przeszłości, na przykład wesele matki Lois przypomina specjalne zielone naczynie na ciasteczka.

Kolekcja wychodzi jednak poza ściśle rodzinne pamiątki, gdyż zawiera również przedmioty, które wiążą się miejscem, a niekoniecznie wyłącznie z rodziną – obiekty rozmaitego charakteru wytworzone z drewna pochodzącego z tamtejszych lasów, zrobione przez lokalnych rzemieślników, będące własnością licznych tamtejszych mieszkańców. Są one przemieszane z obiektami należącymi wyłącznie do Regetów, tworząc wspólnie z nimi harmonijny, kompleksowy zasób pamięci zaklętej w rzeczach. Lois oczywiście potrafiła je rozróżnić, skupiając się przy tym jednak głównie na spuściźnie rodzinnej. Poczowała się do roli strażniczki, na której ciąży wielka odpowiedzialność dbania o ciągłość rodzinną, siłę jej wewnętrznych więzi reprezentowanych przez zgromadzone rzeczy. Jej obowiązkiem było baczenie, by powierzone obiekty nie doznały żadnego uszczerbku, były odpowiednio wyeksponowane, zabezpieczone i przekazane następnym pokoleniom [McCracken 1990: 46]. Problem pozostał jednak z potencjalnym następnym strażnikiem tej pamięci, który miałby ją pielęgnować po odejściu państwa Roget. Ani dzieci, ani wnuki nie wykazywały wystarczającego zainteresowania kolekcją oraz – co się z tym wiąże – nie posiadały wystarczającej wiedzy, by pamiątki mogły z ich pomocą wciąż skutecznie „przemawiać” i „działać”.

McCracken w konkluzji historii Lois pisze:

Lois i jej kolekcja są, w pewnym sensie, jedynie odmiennymi wersjami rodziny. Obie należą do rodzinnego przedsięwzięcia, które rozciąga się na siedem pokoleń wstecz. Obie są swoistymi artefaktami historycznymi. Przedmioty są intensywnie nasycone ludzką pamięcią, podobnie i ludzie są intensywnie nasycony znaczeniami cennego wyposażenia, co prowadzi do wrażenia, iż wyrażają jedynie odmienne elementy w procesie historycznym, który w nieskończoność przemienia przodków w przedmioty, a przedmioty w potomków. Lois jest uczestnikiem procesu, który niemal przestał istnieć [1990: 53].

W rzeczy samej, w świecie, w którym do rzadkości należy przekazywanie dóbr z pokolenia na pokolenie, w którym częściej nawet niż w ciągu życia jednego z nich dokonuje się daleko idących zmian, w tym tych dotyczących najbliższego

otoczenia (przeprowadzki, migracje, mody itd.), przedstawiony proces niemal już nie istnieje. Niemal, ponieważ działają wciąż jednak kolekcjonerzy – nie tylko profesjonaliści pracujący w oficjalnie, formalnie i instytucjonalnie funkcjonujących muzeach, lecz również amatorzy. To oni uważają siebie często za “zbawców” traconych obiektów i ginących światów, co usprawiedliwia czas poświęcony na kolekcjonowanie [Belk 1995]. Nic dziwnego zatem, że bohaterka innej historii, Nan, tym razem z relacji Anat Hecht, uważa się za taką właśnie zbawczynię pamiątek rodzinnych:

To małe lustro, tam, ma niewielką półkę. Można na niej kłaść grzebień albo szczotkę, przy zlewie nad którym się myje i czesze włosy każdego poranka. W tamtych czasach w każdym domu było takie lustro przy kuchennym zlewie. Przez chwilę miałam lustro mojej cioci. Bardzo byłam z nim związana, bo było tam od początku lat 1900-ych oraz „widziało” i „wrażało” życie wszystkich ludzi, którzy mieszkali w tamtym domu – moich dziadków, mojej mamy, mojej cioci... Po śmierci mojej cioci uświadomiłam sobie, że to koniec rodu, koniec pewnej epoki. Moja ciocia była ostatnia. Nie pozostało nic do namysłu... [Hecht 2001: 133].

Ten tam to rondel do smażenia konfitur mojej babci jest z mosiądzu. Moja babcia robiła w nim dżem, a potem robiła w nim dżem ciocia Nan. Dalej są dwa inne garnki, które należały do mojej babci: garnek na dżem i garnek na masło... Tamta skrzynka pocztowa była cioci Nan. Prawdopodobnie wykupiła ją w latach 1920-ych [Hecht 2001: 136].

Ważne w historii Nan, niemal siedemdziesięcioletniej Szkotki, było to, że jako dziewczynka zmuszona została opuścić kraj dzieciństwa i zamieszkać w Anglii. Stało się to na początku II wojny światowej, kiedy jej ojciec został powołany do wojska, a matka umarła przy porodzie. Skutkiem tego było przekazanie Nan i jej młodszego brata do sierocińca, w którym pozostała już do końca dzieciństwa. W tym nagłym wyrwaniu z uprzedniego środowiska, a szerzej – załamaniu się całego rodzinnego świata, upatrywać można – według Hecht – potrzeby Nan zbierania i gromadzenia wszystkiego, co tylko ocalało z pamiątek rodzinnych:

Straciłam wszystko, gdy byłam bardzo mała. Straciłam moją rodzinę – jeśli chodzi o rodziców. Straciłam dom, moje dzieciństwo, mój cały świat. Dlatego uczepliłam się, niemal uczepliłam się wszystkiego, co pozostało. Może dlatego mam wszystkie te rzeczy... [Hecht 2001: 138].

Geneza kolekcji Józefa Iwańczaka

Johann Wolfgang Goethe, znany nade wszystko z wiekopomnych dzieł literackich, bodaj jako pierwszy przyczynił się do powstania terminu *muzeum-templum* stosownym wrażeniem wyniesionym z wizyty w Galerii Drezdeńskiej:

Przestąpiłem progi tego sanktuarium i zdumienie moje przeszło wszelkie pojęcie. Ta wielka kolistą salą, w której panowała najgłębsza cisza, odznaczała się przepychem i czystością; błyszczące ramy, jeszcze bliskie czasów, gdy je złożono, froterowana posadzka, obszerne przestrzenie, przeznaczone w daleko większym stopniu dla zwiedzających niż dla pracy, budziły wzniosłe uczucia, jedyne w swoim rodzaju; wywierały wrażenie, jakiego się doznaje wchodząc do kościoła, tym bardziej że ozdoby niejednej świątyni, przedmioty adoracji tylu ludzi, i tu się znajdowały, a li tylko dla świętych celów sztuki [1957: 360–361].

Termin, którym posłużył się Goethe, „sanktuarium”, był jedną z inspiracji do napisania poniższego tekstu, co nie znaczy, że jego przedmiotem stanie się obiekt błyszczący marmurami, złoceniami i czystością wnętrza, w którym można podziwiać dawne czy współczesne uznane dzieła sztuki. Dyskutowane poniżej „sanktuarium” znajduje się w dawnej stajni [il. 1], w której niegdyś po jednej jej stronie stały krowy, po drugiej zaś koń i owce, a pomiędzy nimi kicały króliki i przechadzały się kury – to część dolna. Druga wznosi się powyżej, a jej pierwotną funkcją było przechowywanie słomy, siana czy zboża trzymanego w drewnianych skrzyniach. Wprawdzie dziś trudno rozpoznać pierwotne funkcje tych wnętrz, zwłaszcza pierwszego z nich, niemniej ich waga dla twórcy ich zmienionej już roli oraz nielicznych bywalców może z powodzeniem konkurować z uznanymi „sanktuariami” o dużo większej skali „kultu” muzealnego: *British Museum* czy choćby Muzeum Narodowym w Krakowie. Wprawdzie wchodząc do niego miast „froterowanej posadzki” pod naszymi stopami poczuwamy lekko uginającą się ponad stuletnią podłogę, a na ścianach nie zobaczymy „błyszczących ram”, tylko spatynowane, czasem wyszczerbione talerze, dumnie eksponowane niegdyś w rzędach, opierające się o przeznaczone do tego celu listwy, to jednak rychło zorientujemy się, że miejsce to zawiera wielką dozę niezwykłości. Wystarczy kilka chwil spędzonych z Józefem Iwańczakiem, twórcą swoistego, samodzielnie stworzonego muzeum w Niedzicy, znanej głównie z Zamku Dunajec i rozpościerającego się pod nim sztucznego zbiornika wodnego – Jeziora Czorsztyńskiego.

Ten emerytowany, osiemdziesięciosześcioletni gospodarz, cieśla, robotnik leśny i – przez pewien czas – pracownik służb konserwatorskich [il. 2], zrekonstruował we wnętrzu dawnej stajni, o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych, typowe



Il. 1. (fot. Janusz Barański)

spiskie pomieszczenie mieszkalne, zaś powyżej niego, na rozległym strychu (*na scycie*) o powierzchni osiemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych, część gospodarczą ekspozycji, zawierającą głównie artefakty związane z różnymi formami pracy na dawniejszej spiskiej wsi. W całym obiekcie wystawionych jest około siedemset pięćdziesiąt artefaktów: od ubrań, obrazów religijnych, makatek, mebli, sprzętów kuchennych, przez narzędzia rolnicze, stolarskie, ciesielskie, urządzenia służące tkaniu i przędzeniu, młocce i przemiałowi, po dokumenty i zdjęcia rodzinne.

Historia kolekcji ma przede wszystkim źródła rodzinne. Według pana Iwańczaka, w sześćdziesięciu pięciu procentach składa się z obiektów, które są spuścizną rodzinną. Rzecz jest sama w sobie nietypowa zważywszy na fakt, że w okresie powojennym, na fali ułomnych wprawdzie, jednak mających miejsce zjawisk modernizacyjnych, dosyć rozpowszechnionym stosunkiem wobec dawniejszej kultury materialnej było odrzucenie. Mieszkańcy Spisza, w tym sam pan Józef, zgodnie wskazują na powszechny i konsekwentny proces pozbywania się, głównie po prostu palenia, starego dobytku w ciągu powojennych lat. Było to o tyle łatwe do realizacji, że w większości sprzęty domowe czy gospodarskie były drewniane, a ponadto zwykle wykonywane lokalnie, przez samych użytkowników czy nielicznych rzemieślników. Niektóre z nich wyszły zresztą sukcesywnie z użycia (wialnie, krosna, chomąta, wozy konne itd.), a zatem stały się ostatecznie –



Il. 2. (fot. Janusz Barański)

z punktu widzenia instrumentalnej racjonalności – rzeczami zgoła zbędnymi. Stąd też wraz z początkiem zmian ustrojowych końca XX wieku proces wymiany obiektów ruchomych tej dziedziny kultury był już w dużym stopniu zakończony. Taki los spotkał również lokalną odzież, będącą zawsze jednym z głównych wyznaczników tożsamości regionalnej, a nawet elementy domowego kultu religijnego, jak oleodrukowe obrazy, które – bywało – palono wraz z innymi obiektami materialnymi o zupełnie świeckim statusie. Te i inne rzeczy nie wytrzymały konkurencji z produktami przemysłowymi, które zarazem coraz bardziej reprezentowały awans społeczny mieszkańców regionu. *Kto chodzi w stroju, to chodzi w dziadach* – komentuje z goryczą ówczesny stosunek do tradycyjnego lokalnego odziewku Danuta Milaniak, regionalistka i członkini lokalnego zespołu folklorystycznego „Czardasz”. Przytacza jeszcze własne wspomnienie z dzieciństwa pokazujące, że w najlepszym razie niechciane rzeczy znajdowały ocalenie za sprawą zainteresowanych nimi przybyszów:

Był taki moment, ten dom, co był koło nas, stary dom, to jest mojej prababci, tam, mój dziadek tam mieszkał wcześniej. To było takie coś, ja pamiętam taki moment, bo wiem, że tam był koło tego domu nasz pies, taki zawiązany. I przyjechał taki pan z Krościenka, z jakiegoś muzeum czy skądś tam, nie wiem, bo mała byłam, nie pamiętam. Tylko wiem, że dziadek przyszedł mnie zawołać, że trzeba przytrzymać tego psa, bo przyjechał pan po jakimsi godzinie [zegar – JB]. Wiem, że ten pan właśnie zabrał stamtąd taki zegar, i to chyba ten, co nie widziałam go na ścianie, jak wyglądał, coś tam i jakieś jeszcze kubki, talerze – wszystko niósł w takim pudle, a ja trzymałam tego psa. To dzisiaj jakbym tam stała, to bym tego psa puściła [śmiech – JB] i w ogóle bym dziadkowi nie pozwoliła.

Z tego okresu wymiany wyposażenia kultury materialnej pozostały wprawdzie nieliczne obiekty nieruchome, jak budynki mieszkalne czy gospodarskie, w tym na przykład słynne *sypańce* – spichlerzo-piwnice, których kilka sztuk zachowało się jeszcze w niedalekim od Niedzicy Kacwinie. Właśnie jeden z takich obiektów, stajnia, został zaadoptowany przez pana Iwańczaka na jego muzeum.

Fakt niszczenia niemal wszystkiego, co stare, podkreśla z żalem część mieszkańców: *No i też chyba właśnie, se myślę, no jak to zrobili, że powyrzucali wszystko, a to można było gdzieś złożyć do jednego miejsca. No bo dużo było takich rzeczy, co ludzie, ludzie, no, powyrzucali, porąbali, no bo to dziadostwo, to po co to, nie?* – komentuje Danuta Milaniak. Praktykę tę można by określić – za Aleidą Assman – jako przypadek aktywnej formy zapominania, które „jest wynikiem zamierzonych czynności, takich jak wyrzucanie na śmietnik lub niszczenie” [2013a: 75]. Pogląd

ten podziela i sam pan Józef: *Dziś jesce som takie niektórzy ludzie, no nie wiym, nie mozym to zrozumieć, takie: no po co to, a na co to, gdzie jakby sie wyzbyć tego, no i jo nie rozumiym, mówiem: chłopie cies sie, ześ bogatsy przez to, bo wiyncyj wiys. Ale ni moze tego zrozumieć* – wyrażając zdziwienie deficytem oddania lokalnej kulturze. Co więcej, można nawet dostrzec fakt istnienia w najlepszym razie obojętności, a czasem i niechęci wobec samego dzieła podjętego przez pana Iwańczaka, co podkreśla tutejsza nauczycielka, Elżbieta Łukuś:

Przecież pan Józef, on się na początku bał tego takiego, co ludzie powiedzą, jaka będzie po prostu opinia. Bo my tu żyjemy pod taką presją tego środowiska. Ale on miał w sobie na tyle silną taką potrzebę, żeby coś zrobić, jak to on cały czas mówi: ocalić od zapomnienia, zostawić następnym, po prostu, pokoleniom.

W ówczesnej atmosferze przypadek pana Iwańczaka oraz jego kolekcji jest szczególnie i według niego samego wyjątkowy. Otóż jego rodzice mieli się wyróżniać od większości członków lokalnej społeczności niezgodą na bezpowrotne usuwanie dawniejszego wyposażenia z rodzinnej ekumeny. Nawet jeśli jakaś rzecz wyszła z użycia, nie łądowała w piecu czy pobliskim potoku, lecz wynoszona była na obszerny strych rodzinnego, tradycyjnego drewnianego domu; ten zbawienny los spotkał nawet wóz drabiniasty. Gdybyśmy i w tym przypadku sięgnęli do propozycji teoretycznych Assman, należałoby wprawdzie i tutaj skonstatować fakt zapomniania, lecz jego formę łagodniejszą, bierną, nie nieodwołalną: „W tych przypadkach przedmioty nie zostają zniszczone: wypadają jedynie poza obręb uwagi, czci lub użytku. Dzięki przypadkowi to, co utracone, może zostać w późniejszym czasie odkryte – na przykład na strychach lub w innych dziwnych miejscach ...” [2013a: 75]. Znajduje to wyjaśnienie w stosunku rodziców do domowego i gospodarskiego stanu posiadania, co podkreśla sam pan Józef:

Te rzeczy, te starocia siedziały nienaruszone [na strychu starego domu – JB] (...) Ta myśl, moja, była jus, jo, jesce rodzice zyli [zmarli w 1973 i 1975 roku – JB] i jo sie przyglondoł, jak oni do tego podchodzili. Jak wypożyczył ktoś takom rzecz, to mama jus pyto ojca: ty, psynióś toto cy nie psynióś? Se myśłoł – tak jakby to złoto było, se tak myśłoł – jak by to ze złota było. I tak to rodzice traktowali.

Wspomnienia te nie pozostały bez śladu na świadomości pana Iwańczaka. Myśl o potrzebie zachowania tego rodzinnego „złota” nawiedzała go już od dawna: *jo przemyśłoł tak, panie, ze przyjdzie chwila, roki przybywo, ze moze bede żył, a nie bede móg charować, nie bardzo, no to, to mi sie urodziło jesce po śmierci rodziców, ze zrobie to. Nie wiedziół jesce, kiedy to zacnem, bo jesce mnie trzymała gazdówka.*

Wreszcie, już będąc na emeryturze i już w XXI wieku (2005 rok), postanowił coś z tym rodzinnym „złotem” zrobić. Nie przypuszczał jednak, że zamysł ten zyska obecny kształt: *Jakby mi był ktoś powiedział przed dziesiynciu laty, że z tyj szopy, gdzie jeszcze gospodarstwo było – krowy, owce chowoł, kury...* Zrazu jął odziedziczone drobne elementy rodzinnej spuścizny składować w pokoju na poddaszu nowego, wybudowanego przez siebie w latach sześćdziesiątych, murowanego domu. Z czasem natomiast zaczął myśleć o przekształceniu dawnej stajni w zrekonstruowaną spiską izbę, co przypomina przytaczany wcześniej hipotetyczny przykład, podany przez Pearce – potrzeby poszerzenia zasobu znalezionych rzeczy po poprzednich pokoleniach. W naszym przypadku okazało się, że prócz kilku obrazów religijnych, ksiązek czy dokumentów związanych z historią rodzinną, była jeszcze cała góra „zwykłych” rzeczy, które przez dziesięciolecia trwały w stanie hibernacji na strychu starego domu. Sam był zaskoczony zapalem, który go ogarnął, choć wyjaśnienie można wskazać w potrzebie zachowania dzieła przodków:

*Pod osiyndziesiontkę byłem i jeszcze mnie kusiło iść. No, po prostu mi-
łem tyn upór – co dom rade, to zrobie jesce. Dawało mi takom satysfakcje
ukochoanie moich przodków. To we mnie tak zostało – ukochoanie moich
przodków. Jak oni to wszystko, kaźdom rzecz, jak mama to czyściła,
jak sie rozkładało, układało, to to tam, a tak dbała zawsze (...). Był
taki okres, że jak bych pracowoł, tak mi zesło i tak mi ta robota ciesyła,
co choć kiedy jak'em zjod śniadanie, to jak sie ściynzyło, to posed se,
dopiyro se kolacje robił, a obiod jod dopiyro choć przerobił. Nie za to,
zebym oszczyndzoł – zesło mi tak. Patrze, kurde, ile to godzin już? No,
szósto godzina.*

To zapamiętanie się w pracy i entuzjazm nie były być może wyraźnie widoczne dla zewnętrznego obserwatora, choć byli i tacy, którzy to dostrzegli na samym początku realizacji projektu. Elżbieta Łukuś wspomina: *Ja nie zapomnę, jak kiedyś tam, ileś tam lat temu, jak to tworzył, ja po prostu tam przyszłam, szukałam go, a on, biedny, tam w tej piwnicy, czyścił (...). To jest nieprawdopodobna robota – dzieło dla jednego człowieka. Nic dziwnego – pan Józef należy do twórców cichych, niepozornych, wycofanych, nie obnoszących się ze swym dziełem. Wspomniany wcześniej, powszechny w lokalnym środowisku krytyczny stosunek wobec spuścizny materialnej, nie sprzyjał podjętemu wysiłkowi jej zachowania:*

*Byli tacy, niektórzy to som, ludzie przeróżni som, co potrafi tak, jakby,
jo wiyim, powiedzieć tak, cłowyjka drugiyo zniechyncać: a co to z tego,
a na co to? No to jak jo by był słaby, tego, miół to słaby tyn fundemynt,
tego, to by pomyśłoł: a moze i to co mi z tego. Ale jo tego nie dopuścił,
a to mnie jesce umacniało. To mnie umacniało. Jo se powiedział: nie!*

I tak mi to wystarcało, wiy pan. Teroz to układom, układom, powoli układom, ale i tak'em dopioł to, com se zrobił, jaki plan zem se zrobił.

Wsparcie uzyskał właśnie nie od bliższych lub dalszych krewnych czy swojej społeczności, lecz od „najbliższych z bliskich” – własnych dzieci, zwłaszcza dwóch córek. Ważny jest tutaj wszelako szczególny kontekst życia rodzinnego, mianowicie nieobecność od lat dzieci nie tylko przy rodzicach, lecz także w jakimś nieodległym sąsiedztwie – cała trójka wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych.

Córki dały taki mi doping, ta najmłodsza, (...) ona, jak przyszła, jak już w Ameryce była, a była jeszcze nie zamężna, ani nic, do szkoły chodziła, jak na wakacje przyszła, jom nie cieszyło z poczontku w Ameryce, ona cały czas jom tu cionęło, ona tu przyjechała, nie było roku, każdy rok (...), cionęnyło tam jom zawsze do tego domu rodzinnego, a toto przyniesła, a tamto: tato a toto wicie, to tako pamiontka, tato pamiontka. A jo jak jom obserwowoł i nic zem nie godoł, a juz'em mioł tys to samo myśłoł, powiyim, uciesym dziecko moje, bo jo to bym powiyunkszoł i pomnożył, jak to się mówi. No i tak to się zaczyło (...). Ony tu były cynsto. Starsza córka dzieci miała, to prawie każdygo roku w wakacje tu byli. To ona, jom to na tyle tyż inspirowało, że niesamowicie mnie wspierała zdania-mi, słowami, żebyim mioł chynci do tego, żebyim kontynuowoł – tak to powiyim. A druga to samo.

Wsparcie córek było na tyle silne, że gdyby nie ich zainteresowanie, to *byłoby tys, ale nie wiyim, cy bym tak intensywnie sie do tego zabiyroł* – przyznaje otwarcie pan Iwańczak. W szczególności młodsza córka odegrała wyjątkową rolę: *jakby jej doping, ale widziołem, ze ona mo zainteresowanie. Druga córka to samo, to ich cieszy, czyli to była ta dla mnie taka posila, siła, ze jakbym widzioł był od nich niechyńć – chocioż mnie nie bedzie, to ony bedom tym władać*. Widoczny nacisk położony na roli młodszej córki, a zarazem najmłodszego z dzieci pana Józefa, jest znamienny i wykracza poza sferę empirycznie stwierdzalnego determinizmu. W powyższych wypowiedziach uderza bowiem uczucie podwójnej utraty: rodzinnej spuścizny i ukochanego dziecka. W przypadku pana Iwańczaka ma – zdaje się – zastosowanie pogląd, że „doświadczenie utraty bliskiej osoby leży często u początku kolekcjonowania” [Tańczuk 2011: 255]. W dyskutowanym tutaj przypadku chodzi oczywiście nie o utratę w rozumieniu śmierci, lecz emigracji – wszystkich dzieci. Zachowana kolekcja zdaje się być formą zapobieżenia tej utracie, działaniem kompensacyjnym, spoiwem dla nadwerężonych wskutek emigracji bezpośrednich więzi osobowych, pociechą w rozłące i lekiem na wynikającą z tego traumę.

Angela Jannelli [2012: 161], niemiecka muzeolożka, posługuje się odnośnie badanych przez nią podobnych, „oddolnych” kolekcji pojęciem profanicznych reli-

kwii, obiektów transgresyjnych. W szczególności artefaktom charakterystycznym dla tego typu kolekcji przypisać można – według niej – funkcję pośredniczenia w procesach rozłączenia, pożegnania, „żałoby”. Reprezentują osoby lub sytuacje, których ostateczna utrata może zostać odroczone, co w dalszej kolejności zdaje się być konstytutywną cechą wszelkich muzeów, które zachowują przynajmniej część świata w jego dawnej formie. Dodajmy zatem, że w tym rozumieniu można by je porównać do obiektów przejściowych w funkcji wskazanej przez Donalda Winnicotta [1971], badacza psychiki dziecięcej, których dziecko używa w chwilach emocjonalnej separacji z matką (może to być kocyk lub miś). W mikroskali „kolekcji rodzinnych” dotyczy to doświadczanego mijającego czasu spędzonego z bliskimi, a nawet śmierci bliskich, przemijania wspomnień i przeszłych zdarzeń. W naszym przypadku mamy do czynienia bodaj z multiplikacją: „utrata” dzieci przez ojca, a równocześnie utratą przez niego i całą rodzinę dawnego świata. Wynikający z tego dwojaki wysiłek ma służyć odroczeniu obu zdarzeń, dostarczyć wrażenia obecności choćby w postaci jedynie materialnego świadectwa. Wprawdzie można przypuszczać, że zgromadzone obiekty wyrażają z jednej strony utratę, z drugiej zaś jednak nadzieję na kontynuację i związek [por. Clifford 1997: 193]. Taką interpretację zdaje się potwierdzać uwaga Elżbiety Łukuś na temat kolekcji pana Józefa: *On na to patrzy z wielką miłością. To jest takie jego dziecko, tak bym powiedziała, kolejne*. Niewykluczone, że to spostrzeżenie jest nadzwyczaj uprawnione – „dziecko” w postaci kolekcji–obiekty zastępczego w miejsce dzieci utraconych. Susan Pearce dla zrozumienia fenomenu kolekcji przywołuje koncepcję daru, odwołując się do długiej tradycji refleksji na ten temat sięgającej poglądu Marcela Maussa:

„Dar” jest typowym przypadkiem dużej części zawartości kolekcji. Wiele eksponatów to właśnie dary w najściślejszym słowa znaczeniu – zostały zakupione lub pozyskane przez jedną osobę w celu sprezentowania ich komuś innemu. To jest w istocie jeden z głównych sposobów wpisywania się praktyki kolekcjonerskiej w stosunki rodzinne i społeczne. W istocie znaczna większość kolekcji ma ten status, ponieważ działa jak dary, którymi kolekcjoner obdarował samego siebie [Pearce 1995: 369].

W rzeczy samej, w ostatnim ze wskazanych przez Pearce przypadków kolekcji – co może dotyczyć zbioru motyli, znaczków czy statuetek Buddy – którą z zapałem buduje kolekcjoner w zaciszu własnego domostwa, pogląd ten wydaje się uprawniony, ale czy w innych też, gdy zbiór eksponatów „wychodzi” poza półkę w czymś pokoju i staje się kolekcją muzealną? Można by stwierdzić, że w tym przypadku mamy do czynienia z obdarowywaniem większej grupy ludzi: koneserów sztuki

(muzea i galerie sztuki), miłośników przeszłości (muzea historyczne), społeczności danego regionu (muzea regionalne), a nawet całego narodu (muzea narodowe). Swoją kolekcją muzealiów obdarował niegdyś Feliks „Manggha” Jasiński Muzeum Narodowe w Krakowie (stąd nazwa wydzielonego z czasem Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, przechowującego część japońską kolekcji Jasińskiego, wykorzystującą w swej nazwie przydomek donatora), a zbiory Seweryna Udzieli stały się zaczątkiem późniejszego Muzeum Etnograficznego tamże. Oto przykłady praktyk kolekcjonerskich będących elementem stosunków społecznych szerszej skali. Zbiory sztuki polskiej pierwszego ze wskazanych donatorów do dziś służą budowaniu świadomości historycznej, samowiedzy społecznej i więzi narodowej, co dotyczy wszak i drugiego z nich, choć jego kolekcja obejmuje jedynie jedną, wprawdzie dominującą niegdyś demograficznie klasę społeczną. Gdzie należy jednak szukać skali rodzinnej? Otóż, jest to właśnie przypadek pana Iwańczaka, który obdarował swoją kolekcją rodzinę. Choć, jak można przypuszczać na podstawie wyrażonych dotychczas opinii niektórych członków społeczności, jego „arka” to dar złożony również społeczności lokalnej i regionalnej. Sięgnijmy raz jeszcze do słów samego zainteresowanego:

Tam stary budynek rodzinny na ul. św. Rozalii. To był dom dość przestrzynny, bo czternaście metrów długości dachu było, choć wynższy – tam było wszystko wyodkładane. Wiync jo ściongoł, jo tak licze, że sześćdziysiont piyńc procynt jest rodzinnych pamiontek, które jo tak pielyngnuwoł, jakem widzioł jak moi rodzice pielyngnuwali. Jak mamie, jak sie coś zepsuło, to już tate prosiła: weż to naprow, zeby to było takie, jak mo być. I tak to tymi rzeczami, te rzeczy mnie prowadziły, żem zaczoł myśleć, ze jakom to mo wartość, że moi rodzice to tak pilnowali, jeszcze mieli po dziadkach, po swoich dziadkach. Wiync jo se postanowił, ze jak mi bedzie statkować zdrowie i pozwoli opatrność, ze jeszcze bede na nogach, to bede sie staroł to umieścić, zakonserwować i kieby to było widoczne, zeby młodemu pokolyniu pokazać, ze tak powinni szanować, bo to jest historia. Jakby to zanikło, to co by to pokolynie młode powiedziało, jak by sie ktoś zapytoł, jakie to poczontki były – nie wiedziałyby nic.

Cały ten trud zajął panu Józefowi osiem lat: przebudowa stajni na potrzeby kolekcji; uzupełnienie brakujących, a niezbędnych – według rodzimego kolekcjonera – artefaktów; dokonanie niezbędnych zabiegów konserwacyjnych, oczywiście – własnym sumptem; zaaranżowanie całości. Z pietyzmem naprawiał wiele ze swoich eksponatów, dorabiając brakujące części, przywracając im pierwotny wygląd. W rozmowie na ten temat można wyczuć obecność osobistego, dogłębnego pragnienia

zachowania spuścizny rodzinnej, a zarazem spuścizny lokalnej kultury. Po chwili rozmowy na temat najbardziej adekwatnego określenia dla kolekcji pan Iwańczak uznał, że najlepszym będzie „muzeum rodzinne”. Pewnym tego wyjaśnieniem jest powyższa skrótowa rekonstrukcja jej genezy, lecz także i jej przeznaczenia. Przemawiają również za tym szczególne nastroje i motywacje zakłęte w rzeczach, których wybiórcza ewidencja przedstawiona zostanie poniżej.

Wskazana wcześniej, zgoła teoretyczna spekulacja Pearce, na temat genezy kolekcji powstałej z paru staroci znalezionych w szufladzie, znajduje jednak bardzo realne potwierdzenie w przypadku kolekcji pana Józefa. Wprawdzie to nie szuflada, a obszerny strych starego rodzinnego domu stał się właśnie takim miejscem, w którym przez dziesiątki lat nagromadzały się znoszone przez jego dziadków, a później rodziców, wreszcie jego samego przedmioty, sprzęty, narzędzia, obrazy, ubiory, książki, które sukcesywnie wychodziły z użycia – uszkodzone lub zastąpione przez nowsze wersje. Intensywna zmiana kultury materialnej w ciągu XX wieku sprawiła, że zgromadzone na owym strychu rozmaite obiekty rękodzieła – drewniane, metalowe czy tekstylne – zastąpione zostały wytworami masowej produkcji. Dopiero w pewnym momencie właściciel tej „masy spadkowej” dostrzegł jej wartość i uczynił z niej kolekcję. Przez kilka lat miało miejsce również jej uzupełnianie i kompletowanie.

Fakt uzupełniania kolekcji przez pana Iwańczaka również znajduje odniesienie w ustaleniach teoretyków kolekcjonowania: „Jedną z różnic pomiędzy posiadaniem a kolekcjonowaniem jest to, że to drugie prowadzi do nadania porządku, systematyczności, o ile możliwe – kompletności. Przedmiotem szczerzego zainteresowania kolekcjonera nie jest właściwa wartość przedmiotów pożądania; bez względu na to, ile kosztują, musi je mieć” [Aristides 1988: 330; za: Pearce 1995: 21]. Za chwilę będziemy mogli się przekonać, że wprawdzie większość artefaktów kolekcji pana Józefa to spuścizna rodzinna, jednak pewna ich część jest efektem zabiegów podejmowanych przez kolekcjonera na miarę jego środków finansowych, lecz głównie zapobiegliwości w ocalaniu zagrożonych zniszczeniem rzeczy z bliższego lub dalszego sąsiedztwa. Kolekcja zyskała w konsekwencji względnie całościowy charakter w myśl zasady, że nie jest tylko sumą jej części, a jako całość zyskuje zgoła nową jakość – staje się mikrokosmosem właśnie pewnej większej znaczącej całości. Co więcej, nie składają się na nią wyłącznie obiekty materialne. W pracy zbiorowej współredagowanej przez jednego z badaczy tej problematyki, Russela Belka, podkreśla się: „Uznajemy za kolekcję wybiórcze, czynne i długotrwałe pozyskiwanie, posiadanie i rozporządzanie zbiorem powiązanych ze sobą różnych obiektów (przedmiotów materialnych, idei, istot lub doświadczeń), co przyczynia

się do wytworzenia dodatkowego znaczenia całości (kolekcji), którą – uważa się – zbiór ów konstytuuje” [Belk *et al.* 1990: 8; za: Pearce 1995: 21]. Nie przypadkiem pan Józef z takim przejęciem opowiada na przykład o kufrze swojego wuja, z którym ten na początku minionego wieku przemierzał przestrzenie oceanu, by w mlekiem i miodem płynącej Ameryce zarobić na lepsze życie swej rodziny na Spiszu. Wspomnienia są tu równie ważne, jak same obiekty, a te drugie nie posiadłyby mocy znaczenia bez pierwszych; do tych wspomnień wrócimy w dalszej części poniższego tekstu.

Izba

Całe to rodzinne „złoto” posłużyło stworzeniu kolekcji wypełniającej wnętrze dawnej stajni. Jej opiekun poproszony został o oprowadzenie po niej i swobodną wypowiedź na jej temat. Treść tej wypowiedzi oraz stopień skupienia na poszczególnych artefaktach i ich zbiorach jest wyrazem wagi, jaką im poświęcał. Okazało się, że zawartość zrekonstruowanej izby mieszkalnej (sprzęty kuchenne, obrazy religijne, garderoba, pamiątki osobiste itp.) domaga się – według przewodnika – szczególnej uwagi, stąd też i w poniższym omówieniu znajdzie to wyraz. Z mniejszym zaangażowaniem pan Iwańczak opowiada o przedmiotach zgromadzonych na strychu, głównie gospodarskich, choć i wśród nich znalazły się obiekty ożywiające pamięć i wywołujące emocje. Gwoli ścisłości i rozproszeniu pewnych nawyków myślowych należy podkreślić, że ów strych nie jest ciemnym, zakurzonym pomieszczeniem, po którym hula wiatr, lecz jasno oświetlonym, czystym wnętrzem, w którym w jeszcze większym stopniu niż w izbie, będącej względnie wierną rekonstrukcją dawnej izby mieszkalnej, widać rękę wystawiennika na z rozmysłem zaaranżowanej wystawie obiektów dawnej lokalnej kultury.

A zatem izba została zrekonstruowana na wzór tej rodzinnej w starym domu. Pan Józef dobrze pamiętał, jak ta izba wyglądała, nawet w jego dzieciństwie, i w zgodzie ze świadectwem pamięci postanowił *wymeblować jom tymi rzeczami*. Ta rekonstrukcja ma jednak niewiele cech imitacji, substytutu, repliki, gdyż na jej zawartość składają się jak najbardziej prawdziwe przedmioty wypełniające dawną rodzinną izbę mieszkalną, a na strychu – rozmaite przedmioty i urządzenia znajdujące się w dawnych pomieszczeniach gospodarskich. W tym rozumieniu świat muzeum pana Józefa „przylega” do przedstawianego w nim świata jego młodości, świata jego ojców i dziadów, pozostaje z nim w zgoła zmysłowym, przeżywanym kontakcie. Można by rzec za Jannelli [2012: 206], że mamy do czynienia z rekonstrukcją mimetyczną, która zresztą oprócz spojrzenia na rodzinną przeszłość. W dalszej części poniższego tekstu, w trakcie wędrówki po muzeum

pana Iwańczaka, będziemy mieli okazję doświadczyć tej atmosfery ciepła, idylli, nostalgii przemawiających „mową” samych rzeczy, jak i naszego przewodnika i jego bliskich. Wprawdzie zrekonstruowana izba ma w zamyśle twórcy jak najwierniej przypominać tę z domu rodzinnego, to reprezentuje zarazem typowe dawne spiskie wnętrze mieszkalne. Potwierdza to emerytowana nauczycielka, a zarazem animatorka lokalnej kultury, Maria Waniczek: *to jest odtworzenie na moją wyobraźnię, na moją pamięć, na taką wiedzę, którą sama zebrałam, to i tak w dziewięćdziesięciu, dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach jest to odtworzenie tego wszystkiego. Właśnie ma to swój taki smak, styl, w ogóle z przeszłości, z tego okresu, jak on to wszystko przyniósł do współczesności. Ma to taką atmosferę, no, takiej dawnej izby naprawdę.*

Zaraz przy wejściu do niej znajduje się tradycyjny piec, a właściwie po części atrapa pieca [il. 3]. Niestety, ten prawdziwy się nie zachował, nie było więc innej możliwości, jak tylko z pomocą płyt gipsowych, osadzonych na drewnianym szkielecie, odtworzyć formę prawdziwego pieca. Jest wprawdzie jeden element oryginalny – okap (*kapa*), ocalony z rozbiórki starego domu rodziny Łopatów, który uzyskała w spadku żona siostrzeńca pana Józefa; pochodzi z niego również podłoga i sosręb, czyli główna belka stropowa [il. 4]. Całość pieca została pobielona w zgodzie z ówczesną estetyką i zwyczajem. Rekonstruktor stworzył jednak obiekt, który jest wierną kopią oryginalnego pieca i uwzględnia wszystkie detale konstrukcyjne:

Jak my mieli, jak zym widzioł, ze był kurnik na kury, na spodzie tak jest zrobione, jak był kotorek na ciepłom wode u góry w tym (...) jak wyglondał u nos w staryj chałupie (...) no i tak po Niedzicy były te piece takie i w niektórych był tyn piekarnik na chleb, to było na spodzie, nie ze te wszystkie były tak u góry nad blachom (...) jo zrobił tu to miejsce dla kur, bo to było dla kurcont wiosnom, jak sie, a to sie w jednyj izbie zawsze żyło, cało rodzina, kurki (...). Siadła kura, młode kurcynta, to im zimno było, to, panie, pod piec, jak sie ociepliło bez południe, to puszczały na pole. Tom i tyn kurnik zmontowoł, żeby pokazać, jak było. Teroz kociołek na wode, ze się poliło w piecu rano, wiecór, a piec był wymurowany z kamyczków od wody, tych płytek od wody, takich orginalnych, i na glinie, późnij otynkowany tylko był (...). Cały dziyń trzymała sie ciepła woda w tym kociołku. Przyszed z pola, ubrudzone rynce, to se ułoł do miski garnuszkiym, nie na kran, a garnuszkiym, i umył se rynce. Tak to wyglondało.

To wprawdzie nie jedyny element zrekonstruowany w ścisłym sensie, gdyż do nich należałoby zaliczyć również ściany oszalowane nowymi, lecz pobejcowanymi na



Il. 3. (fot. Janusz Barański)



Il. 4. (fot. Janusz Barański)

ciemno deskami, pokrywającymi od wewnątrz murowane ściany dawnej stajni. Na tym jednak wyczerpuje się lista imitacji elementów konstrukcyjnych budynku, gdyż podłoga, poszycie stropu i główna belka nośna pochodzą ze wspomnianej rozebranej ponad stuletniej chaty. Wyposażenie wnętrza to już sprzęty i przedmioty w głównej mierze pochodzące z domu rodzinnego, co najwyżej odziedziczone po krewnych lub pozyskane od sąsiadów.

By zacząć od tej drugiej grupy, których reprezentantów znajdziemy zarówno w izbie, jak i na strychu, mniej licznej, wskazać można przykładowo: jeden z obrazów religijnych, „Święta Rodzina”, także z sąsiedztwa, mocno zniszczony, poddany konserwacji przez zaprzyjaźnionego ukraińskiego artystę, Igora, który mieszka w Niedzicy i sprzedaje własne obrazy, tudzież ceramikę huculską, na Zamku w Niedzicy; kredens pozyskany od sąsiada, który nasz kolekcjoner musiał oczyścić z wielu warstw farby olejnej; skrzynia wianna z rozebranego domu z sąsiedztwa, bardzo zniszczona, jak wiele innych rzeczy, wymagająca szczególnie pieczołowitej pracy, by ją ocalić od zupełnego rozpadu; kilka makatek od sąsiadów, którzy zaczęli je w pewnym momencie wyrzucać. Tę listę zamknijmy krosnami, z których jedno otrzymał pan Iwańczak od sąsiada, drugie natomiast kupił w innej wsi Spisza – Łapszance. W tej grupie znajdują się również obiekty pozyskane z domu rodzinnego żony. Krosna, z racji swoich rozmiarów, umieszczone zostały zresztą na strychu, o którym bardziej szczegółowo mowa będzie nieco dalej.

Najliczniej reprezentowane są jednak te eksponaty, które pochodzą z domu rodzinnego pana Józefa oraz – w niewielkim stopniu – bliższych lub dalszych krewnych. Ich wymienianiu towarzyszą krótsze lub dłuższe komentarze i wspominki, czasem silnie zabarwione emocjonalnie, gdyż w większości przypadków biografie rzeczy zbiegają się z biografią samego kolekcjonera – bezpośrednio lub za pośrednictwem ich dawniejszych użytkowników. Ich prezentacja, nawet wybiórcza, zajmie dużo więcej miejsca niż poprzednia lista obiektów przejętych po żonie i jej rodzinie lub zgoła pozyskanych od osób nie powiązanych z panem Iwańczakiem więzami rodzinnymi. Zacznijmy od wypowiedzi samego twórcy muzeum:

To wszystko, czy to po moich rodzicach, po moich dziadkach, czy po innych, od kogo, to jest dorobek naszych przodków, których winni my po Panu Bogu najbardziej szanować. A żeby uszanować tom rzecz, którym się posługował mój dziadek, mój ojciec, moja matka, to se tak myślę: mam, jesteś na innym świecie, ale twoje rzeczy som w porzondku. Taka była moja inspiracja do tego. Najwiynkszom radość mom z tego, że to uszanowałam. To mi dało takom satysfakcje. Tam u góry [na strychu – JB] mom całe, przyrzond na przykład do chleba, pieczynio chleba, to syćko mama sie tym zajmowała – te cioski [drewniane narzędzie do wygarnia-

nia węgla z pieca chlebowego – JB], *te łopaty, to korytko. Jesce taki mały ciosek tam wisi, co jak skończyła, to wyskrabowała, wyczyściła korytko.*

Są to bardzo konkretne rzeczy, które znajdowały się na wyposażeniu rodziny, a które ocalały. Daleko im zatem do taksonomicznej kompletności, choć pan Józef podejmuje – jak widzieliśmy – wysiłek ich uzupełniania. Niemniej z racji zasadniczej przypadkowości, rozumianej tutaj w kategoriach niemal wyłącznie spuścizny rodzinnej, stanowią ostatecznie swoisty muzealny *bricolage* – zbiór obiektów, które ocalały, nie stanowiących więc jakiegś domkniętej całości. Tą znaną Lévi-Straussowską kategorią proponuje Jannelli posługiwać się dla odróżnienia muzeów „nieoswojonych” – *wilde Museen* – (w literaturze na ten temat pojawiają się takie ich odmiany, jak: *community museum, neighbourhood museum, indigenuous museum, vernacular museum, family museum, volunteer-based museum, hobbyist museum, DIY museum, écomusée, museo integral etc.*) od tych „naukowych” – *wissenschaftliche Museen* [2012: 28]. Pierwszym przysługuje atrybut konkretności, drugim – abstrakcji, uogólnienia, charakterystycznego dla taksonomicznego porządku w nich panującego. W pierwszych artefakty znaczą często w bardzo zmysłowym, a często również emocjonalnym sensie, odsyłając do konkretnych osób czy zdarzeń, w drugim – pozostają przesłonięte racjonalnym zamysłem, reprezentują głównie pojęcia ogólne, którym posługuje się muzealnik na użytek teorii odnośnej dyscypliny wiedzy. W pierwszym pośrednikiem między rzeczą a odwiedzającym jest co najwyżej świadek czy twórca, drugie mają tendencję do rugowania rzeczy i zmierzania w kierunku muzeum bez artefaktów, zwanych czasem muzeami narracyjnymi. Nie ma wszakże wątpliwości, że – by odwołać się do przedstawionej wcześniej ogólnej taksonomii Pearce – na muzeum pana Iwańczaka składa się przede wszystkim kolekcja pamiętek. W niektórych szczegółach powyższej narracji – wspomnieniach, emocjach, znaczeniach – znajdziemy jej ustalenia o ich roli:

Pamiętki są nieodłącznymi elementami przeszłego doświadczenia, lecz ponieważ – podobnie jak doświadczenie u ludzkich aktorów – posiadają moc przetrwania w ich materialności, której nie mają słowa, działania, wizerunki czy inne elementy doświadczenia, same posiadają moc przenoszenia przeszłości do współczesności. Pamiętki to próbki zdarzeń, które się pamięta, lecz nie można ich przeżyć na nowo. Pamiętki cechuje nastrój intymności, lecz również radości i smutku (*bittersweet*), są zakorzenione w nostalgicznej tęsknocie za przeszłością, którą postrzega się jako lepszą i pełniejszą niż trudna teraźniejszość. Wsteczny ruch w głąb pierwotnego doświadczenia nasila się, gdy staje się ono coraz bardziej odległe, a kontakt z nim

może zostać wypełniony jedynie poprzez tworzenie mitu kontaktu i obecności [Pearce 1998: 72].

Jeżeli po tych uwagach wprowadzających poniższą prezentację przeprowadzimy podążając w lewo od wejścia do izby, pozostawiwszy przedstawiony już zrekonstruowany piec, który znajduje się po jego prawej stronie, to zobaczymy wspomniany już kredens, lecz także inne drobniejsze meble kuchenne oraz wypełniające je utensylia. Mamy oto zbiór naczyń pochodzących, podobnie jak sosręb i podłoga, ze wspomnianego rozebranego domu, należącego do rodziny żony siostrzeńca pana Józefa. Pośród nich znajdują się również kubki i talerze fajansowe z domu rodzinnego, podobnie garnki gliniane, pucek [tłuczek do ziemniaków – JB] i łyżnik zrobione przez dziadka pana Iwańczaka, do którego umiejętności i wkładu w materialny stan posiadania rodziny przyjdzie jeszcze wracać [il. 5]. Jedną z misek z czasu dzieciństwa pan Józef pamięta doskonale: *mama usykowała dziadki [kluski z ziemniaków ugotowanych z dodatkiem mąki – JB], to sie kładło na tym, kielo nos było piyncioro, sześcioro siadali my i jedli z jednyj miski. Nie było jak dziś elegancko, delikatnie. Z jednyj miski. I pojadło sie.* Na podłodze stoi balia do kąpania dzieci zrobiona przez ojca pana Iwańczaka; *putnia* do noszenia wody, maselnica (*kiernicka*), *kieleta* – drewniany skopiec na mleko, dzieża (*dziyska*) zrobiona – znów – przez dziadka, do przechowywania bryndzy. Tej ostatniej towarzyszy stosowny komentarz oddający osobliwość jej zastosowania:

Na zime, przyszed miesionc już sierpiyń, wrzesiyń, to już sie ludzie szykowali, zakupowali bryndze, a jak chowali owce, to baca dawoł taki etat na kaźdom owce chyba cztery kilo czy bodajże tam. To sie już nie zjadło zaroz w lecie, ale solili to, to dobrze zgniecione było, bryndza my to wołali. I tu sie udeptało i co robiło, żeby to nie postarzało sie? To pamiyntom, że masło topili i cieniutkom warstwe masłym już wychłodzonym, takim nie za goroncym, zalewali.

Żywe wspomnienia dotyczą w znacznej mierze przedmiotów, które – jak widać – często są wykonawstwa dziadka lub ojca – stolarstwo i ciesielstwo okazują się zgoła dziedzicznym zajęciem Iwańczaków. Co do „swojskości” tych obiektów nie może mieć wątpliwości nawet osoba nie znająca dawnego lokalnego rzemiosła. Podobnych wątpliwości nie powinna z kolei budzić „obcość” innego ważnego świadka zarówno epoki, jak i – jak się okazuje – historii rodzinnej, maszyna do szycia Singera – model jeszcze z XIX wieku, wieku tryumfu przemysłu. Została kupiona od „starego krawca” z dworu w Falsztynie (sąsiednia wioska spiska) przez mamę pana Józefa: *No i tak sie posługiwali w domu – mamusia. Jak mamusia zmarła, to mama za życia to dała mojej siostrze, już obiecała, ta najmłodsza, jeszcze żyje, jest*

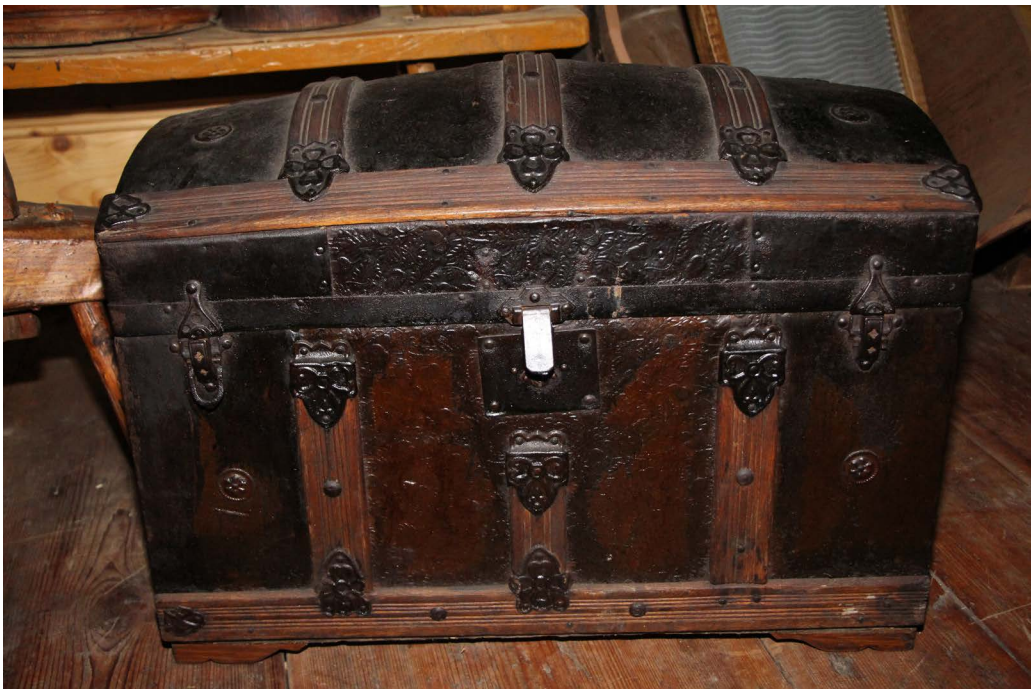


Il. 5. (fot. Janusz Barański)

tu w Niedzicy. Jeszcze bardziej „obco”, a nawet cokolwiek egzotycznie wyglądają znajdujące się w tej części izby trzy skrzynie, a właściwie kufry podróżne, robiące wrażenie wytworów masowej produkcji, nie przypominające typowych lokalnych skrzyń wiannych, choć wyglądające zarazem na wiekowe. Gospodarz wyjaśnia pochodzenie jednego z nich [il. 6]:

Skrzynia przyniesiono ze Stanów (...). To jest historia mojej babki, które były w Stanach jak dziadek, tak babka, i tam się pożyłi dopiYRO. Jako młodzież odżydzali stonD za groszym (...) rodzice matki. I on, tam i z powrotyM, już w tamtych ciynżkich czasach jeździł trzy razy. Raz pojechał – zapracował, i tam się ożenili, i tam czwórke dzieci wychowali. No nie wychowali, bo moja mama, jak wrócili do kraju, to miała osiyM lat [w 1910 roku – JB].

Ostatni raz dziadek pana Iwańczaka był w Ameryce w 1931 roku. Kufer, o którym mowa, to ważna pamiątka peregrynacji rodzinnych, które znajdują kontynuację w emigracji dzieci pana Józefa do USA; wcześniej jeszcze do Stanów wróciły siostry matki, stąd jest tam liczna rodzina. W Stanach pochowana jest babka pana Iwańczaka, która pojechała na drugi wyjazd z mężem, ale tam zmarła, stąd też i więzi z Ameryką są dosyć trwale nie tylko za sprawą żywych członków rodziny, głównie dzieci i wnuków. Omawiany kufer przywiózł dziadek, gdy pierwszy raz wrócił z Ameryki z rodziną. Należy do długiej listy obiektów biograficznych, jak je określa Hoskins [1990: 78],



Il. 6. (fot. Janusz Barański)

składających się na kolekcję, związanych z konkretnymi osobami, często znanymi naszemu gospodarzowi, choć często musi sięgać pamięcią aż do czasu dzieciństwa. Świadcami peregrynacji rodzinnych są jeszcze dwa inne kufry, w tym najmniejszy, właściwie walizka, należąca swego czasu do innego emigranta zarobkowego, który już jako wdowiec wybrał się do Ameryki: *mojej babci, matki ojca, siostry męża* – jednym tchem wskazuje nasz kolekcjoner na koligacje rodzinne, co można przyjąć za symptom siły związków rodzinnych i ich drobiazgowej znajomości. *Troche tam popracował, nie długo był i on, no, po walizce można widzieć, że nie był bogaty, bo miał mnijsom, to ci mieli wiynksom, tamta była jesce wiynksa.*

Peregrynowali za chlebem także i dalsi krewni, czego jeszcze innym świadectwem jest list datowany na 23 maja 1908 roku, wysłany z Ameryki przez brata matki, Pawła Malca, który pan Iwańczak skrzętnie zafoliował, określając go mianem *cynnyj pamiontki*, i powiesił na ścianie opodal zgromadzonych kufków. Pisany jest zresztą po słowacku – świadek zawikłanej polsko-słowackiej historii na Spiszu. Obfituje w pytania dotyczące lokalnych spraw, na przykład, kto jest *rychtarem* (sołtysem) obecnie we wsi? *Zył w Amerycy, ale troche zył krajem swoim* – komentuje pan Józef, który pamiętał autora listu, kiedy ten przed ostatnim wyjazdem do Ameryki pracował w niedzickim tartaku. Jako chłopiec nosił mu tam posiłek robiony przez jego matkę, siostrę Pawła. Jak w przypadku wielu ówczesnych emigrantów zarobkowych ich życie toczyło się w istocie cokolwiek w dwóch

światach, co – jak już wiemy – odnosi się i do współczesnych. Paweł Malec z Ameryki już nie powrócił, a pan Iwańczak w czasie swojego pobytu w Stanach był na jego grobie. Po wieku całym rodzinna historia zatoczyła koło – list i grobowiec, w którym pochowany jest jego autor, oddzielone tysiącami kilometrów, spotkały się w doświadczeniu świadka pamięci rodzinnej. Zafoliowany kawałek papieru, zapisany słowackimi słowami, przesłany z Ameryki w epoce czasu zaprzeszczonego, przechowywany pieczołowicie w wiejskiej chacie przez kilka pokoleń, znalazł swój bezpieczny (?) azyl na polskim Spiszu.

Fakt napisania listu po słowacku to jeden z licznych tutaj znaków obecności żywej do dziś kwestii identyfikacji narodowej. Spiszacy żyją po obu granicy – polskiej i słowackiej – i do dziś pozostaje w użyciu rozróżnienie na *Spisoków* i *Poloków*. Dlatego też, gdy jedzie się choćby z Niedzicy do Sromowiec, znajdujących się po drugiej stronie Dunajca, nie mówiąc już na przykład o samym Nowym Targu, to jedzie się *do Polski*. Oczywiście, obecność dyskutowanej tutaj części Spisza w granicach tejsze Polski nie pozostaje bez wpływu na poczucie narodowe, stąd identyfikacja ze słowackością wydaje się w odwrocie. Nie było tak jednak w czasach, w których przodkowie pana Józefa, wówczas na dokładkę poddani Królestwa Węgier, wyjeżdżali za chlebem do Ameryki. Był to przy tym czas bardzo intensywnej polityki madziaryzacji, zwłaszcza w przededniu I wojny światowej, jak wiadomo okresie eskalacji wszelkich nacjonalizmów w całej Europie i poza nią. Nic dziwnego zatem, że w części ekspozycji prezentującej rozmaite dokumenty z tamtego okresu znajduje się również oprawiony w ramki niewielki plakat Ligi Słowackiej w Ameryce [il. 7].


Wspomniany list nie jest jedynym cennym elementem pamięci rodzinnej wyeksponowanym w tej części izby. Na ścianie obok wisi również szereg wiekowych portretów rodzinnych [il. 8], podobnie inne dokumenty, zafoliowane lub oprawione w ramki, jak – znów emigracja – okazały bilet do Ameryki z początku minionego wieku, metryki urodzenia i świadectwa chrztu idące przez kilka pokoleń rodziny, przepustka roczna z okresu międzywojennego, pozwalająca na przekraczanie granicy ojcu i synowi Józefowi w poszukiwaniu pracy na Słowacji (pan Iwańczak figuruje na niej jako siedmioletni chłopiec [il. 9]). Dalej wstecz sięga inny dokument – karta powołania do wojska dla ojca pana Józefa: *Tam jest, widzi pan, to zdjęcie i karta mobilizacyjno ojca – to jest mój ojciec. To jest karta mobilizacyjno z piyrwszjy wojny światowjy (...). Zachowała mi sie ta karta*. Ojciec służył cztery lata w armii austro-węgierskiej i walczył na froncie włoskim, gdzie uczestniczył w ciężkich walkach, w których zginęła większość jego oddziału. Sam dostał się do niewoli – pracował w winnicy na Sardynii. Zapadł tam zresztą na




Il. 7. (fot. Janusz Barański)



Il. 8. (fot. Janusz Barański)

<p>Nazwisko i imię <u>Wancor Andrzej</u></p> <p>Zawód (zatrudnienie) <u>gosp.</u></p> <p>Stale miejsce zamieszkania <u>Niedzica №3</u></p> <p>Miejsce i rok urodzenia <u>1891</u></p> <p>Opis osoby:</p> <p>wzrost <u>średni</u></p> <p>twarz <u>pościąta</u></p> <p>włosy <u>blond</u></p> <p>usta <u>pełne</u></p> <p>oczy <u>niebieskie</u></p> <p>nos <u>prosty</u></p> <p>szczeg. znaki <u>nie ma</u></p> <p>Cel przekroczenia granicy _____</p> <p>Własnoręczny podpis właściciela legitymacji: _____</p>	<p>Legitymacja ta ważna jest do dnia <u>20 lipca 1933</u></p> <p>Nowy Targ, dnia <u>20 lipca</u> 193<u>2</u></p>  <p><u>[Signature]</u></p> <p>M. FOLLER ZASTĘPCA STAROSTY</p>
---	---

<p>Nazwisko i imię <u>Okwiecicki Jan</u></p> <p>Zawód (zatrudnienie) <u>rolnik</u></p> <p>Stale miejsce zamieszkania <u>Niedzica №93</u></p> <p>Miejsce i rok urodzenia <u>Niedzica 18. IV. 1896</u></p> <p>Opis osoby:</p> <p>wzrost <u>średni</u></p> <p>twarz <u>pościąta</u></p> <p>włosy <u>c. blond</u></p> <p>usta <u>pełne</u></p> <p>oczy <u>niebieskie</u></p> <p>nos <u>prosty</u></p> <p>szczeg. znaki _____</p> <p>Cel przekroczenia granicy <u>owl.</u></p> <p>Własnoręczny podpis właściciela legitymacji: <u>Jan Okwiecicki</u></p>	<p>Legitymacja ta ważna jest do dnia <u>31 grudnia 1938</u></p> <p>Nowy Targ, dnia <u>3. VIII</u> 193<u>8</u></p>  <p>Za Starostę powiatowy <u>[Signature]</u> M. Marian Wroński starosta powiatowy</p> <p>Syn Józef lat 7</p>
---	---

Il. 9. (fot. Janusz Barański)

malarię, jak twierdzi jego syn, z której wyratowała go troskliwa opieka dwóch osób – towarzysza broni, żołnierza węgierskiego, oraz wyrozumiałego tamtejszego plantatora. Wrócił do domu dopiero rok po zakończeniu wojny. Rodzinna skrętność doprowadziła i do zachowania drugiej karty mobilizacyjnej – tym razem do wojska słowackiego z okresu II wojny światowej. Szczęśliwie ojciec został zwolniony po trzech tygodniach jako jedyny żywiciel rodziny.

Na dominantę kolejnej, trzeciej już strony izby, składają się obrazy i figurki religijne pochodzące z dwóch domów rodzinnych – pana Iwańczaka i jego żony. Wszystkie były już mocno nadszarpnięte zębem czasu, zanim trafiły do izby. W szczególności „Serce Jezusa” i „Serce Maryi” [il. 10], które ucierpiały wskutek wilgoci w suterenie starego domu, gdzie spędziły ostatnie lata przed „przeprowadzką” do „sanktuarium” pana Józefa. Również z nimi łączą się silne wspomnienia:

One bardzo były ważne, bo jak byłem małym chłopcem, tom klynczoł przy stole, te obrazy mioł cały czas na myśli. No jak ich odłożyć teroz, żeby nic nie patrzyć na nie? Co roz tu wejde, to pierwse se klynkne i tu paciorek zmówie (...) wejde, to som jestem, ale tu se paciorek jesce odmówie (...). Obrazek, bardzo stary, to jest Trójca Przenajświętsza, to jest tyż piynkny obraz (...). Jak byłem małym chłopcem, to tyn obrazek



Il. 10. (fot. Janusz Barański)

wisioł nad łóżeczkiem i pamiyntom, jak babka mnie zawsze – paciorek modlić, modlić sie.

Wskazane religijne czynności nie powinny dziwić, biorąc jednak pod uwagę przytoczone wcześniej komentarze można odnieść wrażenie, że jego swoisty nabożny stosunek dotyczy również niekoniecznie wyłącznie obiektów związanych z kultem religijnym. Że wbrew odmiennej scenografii wskazać można pewną część wspólną „sanktuarium” Goethego i „sanktuarium” pana Iwańczaka. Tylko że w tym drugim przypadku wydaje się ono miejscem mentalnego i kulturowego azylu [por. Jannelli 2012: 52], a co więcej – wydaje się mieć moc ozdowieńczą, jest „lekarstwem” na rozmaite dolegliwości starszego wieku, od których nie jest wolny i pan Józef. Pośrednio wybrzmiewa to z komentarza jednej z zaprzyjaźnionych z naszym kustoszem mieszkanki Niedzicy, wspomnianej już Danuty Milaniak, która zauważyła, iż mimo pogarszającego się stanu zdrowia, to jednak *jak wchodzi do tego swojego muzeum, do tej swojej izby, to tak wszystko, wszystko jakby mu przechodziło*. Czyżby ozdowieńcze właściwości miejsca, które zawiera wszak element *sacrum* religijnego, obecnego w świętych obrazach, można położyć na karb swoistego *sacrum* rodzinnego? Pan Iwańczak sam dostarcza pewnego tropu interpretacyjnego:

Jo sie cujem, zem spełnił to, co sem zaplanował (...). Musim być cosik zajnty bardzo, zebym tu nie wpod. Z dumu wychodze po nocy, nie, rano, do kościoła cynsto chodze (...), obydwójga idziymy do kościoła na msze świyntom, w każdy dzień, ale zanim do kościoła, to najpiyrw jestym tu, no i składom rynce, pomodle sie i wychodze z takim spokojm (...). Kiedym mocno zdynerwowany, to piyrse tu lece.

Epifaniczny element kolekcji muzealnych, który zapewne wykracza tutaj poza zgromadzone obrazy religijne, podkreśla Pearce. Stwierdza, że obiekty kolekcji zostają poddane przemieszczeniu ze sfery *profanum*, świeckiego świata zwyczajnych towarów konsumpcji, w sferę *sacrum* – niezwykłości, wyjątkowości – co pociąga uczucia i postawy rewerencji. Odwołuje się tutaj zresztą do klasycznego poglądu Huberta i Maussa o tym, że obiekty składane w ofierze podlegają uświęceniu. Akt ofiarny przekształca ich status ontyczny – zostają uśmiercone, lecz stają się święte, przechodzą od stanu doczesności do stanu wieczności. W przypadku obiektów kolekcji muzealnych nie ma – oczywiście – miejsce ich złożenie w ofierze, a zatem zniszczenie w dosłownym rozumieniu. Owo zniszczenie to wprawdzie wyrwanie z pierwotnego kontekstu, uśmiercenie w obrębie czasu i przestrzeni świata życia, jednak z równoczesnym przemieszczeniem w nieśmiertelny świat kolekcji. Obiekty przestają być „żywymi” dobrami, które mają jakieś „doczesne” funkcje, stają się za to zreifikowanymi myślami i uczuciami, troskliwie podtrzymywanymi przez

świadome zabiegi konserwatorskie. Zostają wyłączone z życia codziennego, by zyskać życie w innym porządku [por. Pearce 1995: 24–25]. Całość tej argumentacji oddaje doskonale lakoniczne stwierdzenie: „w kolekcjonowaniu, jak we wszystkich innych rytuałach pogrzebowych i ofiarnych, śmierć jest warunkiem życia” [Pearce 1995: 25]. Nie powinien więc dziwić wspomniany wcześniej melanezyjski zwyczaj przechowywania szczątków zmarłych w domostwach ich potomków. Mogą to być jednak „szczątki zastępcze” – przedmioty po owych przodkach pozostałe.

Po tej samej stronie izby, co obrazy religijne, znajduje się także łóżko, które ma również rodzinne pochodzenie. Natomiast tuż nad nim żerdź z licznymi elementami tradycyjnej spiskiej garderoby [il. 11], którą opisując daje pan Iwańczak równocześnie wyraz powściągliwego stosunku wobec współczesnych realiów kultury regionalnej:

Tam wisom portki, takie regionalne, w jakich tu na Spiszu w Niedzicy chodzili. Ta sukmana to jest kurtka chłopsko, mensko, jak u nos chodzili. Tu som takie koszule, to jest damskie, jak sie ten na to, i taki lejebik [gorset – JB], tam jest to. Ale dziś to wszystko jo, swojom głowom, patrzonc na to, przeinaczone jest, to już jest nie tak. A to wszystko sie zaniechało (...). Ktoś wymyślił teroz, już w tych nowoczesnych czasach toto (...). Portki (...) najzacniejse, bo to mom po ojcu jesce, no. I tu sie z tym, i to mi nieroz,

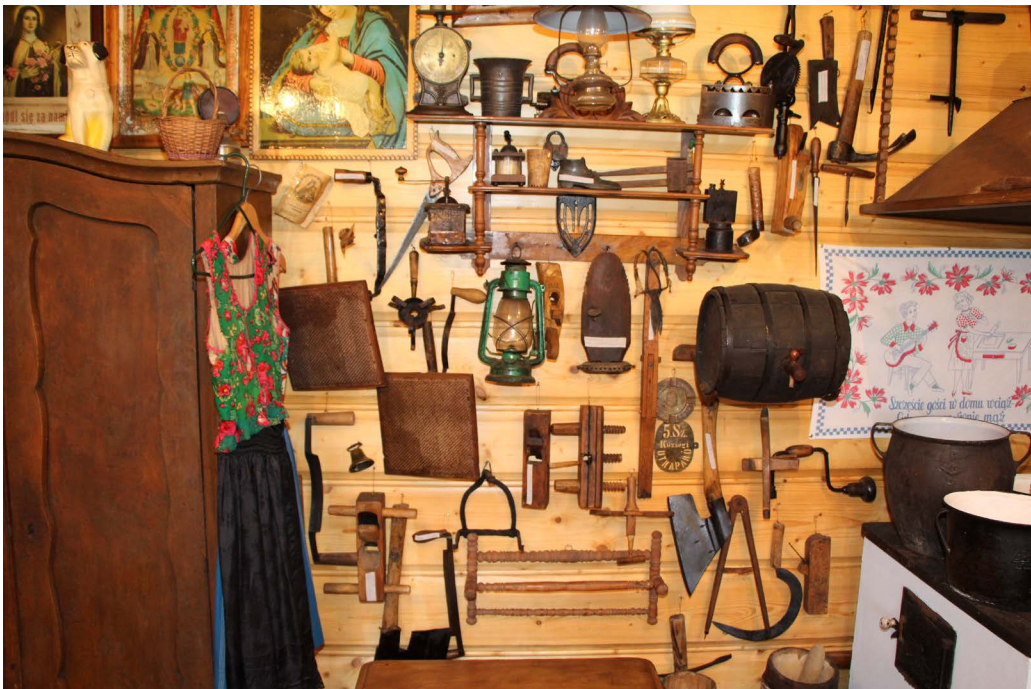


Il. 11. (fot. Janusz Barański)

tak patrzono na to, to nie wiem, czy to jest, jak to można wytłumaczyć, że to odmienione jest wszystko (...). Wytraco się rzeczywistom kulturze, jaka tu istniała, założmy, przed dwudziestu, trzydziestu latami.

Obszedłszy izbę dochodzimy do czwartej ściany, która z jednej strony kontynuuje wystawę rozmaitych obrazów religijnych, z drugiej zdominowana jest przez szafę zakupioną przez mamę pana Józefa od opuszczającej Niedzicę tuż przed II wojną światową rodziny żydowskiej. Między nią a piecem, do którego właśnie wróciliśmy, znajduje się część ekspozycji, która narusza nieco obraz dawnej izby mieszkalnej. Znajdują się tutaj, wyeksponowane na ścianie, liczne narzędzia, które były własnością najpierw dziadka, potem ojca, wreszcie i samego pana Iwańczaka [il. 12]: *Narzyndzia to jest, mój dziadek, to takie moje rodzinne, był cieślom, ojciec cieślom był, tylko ojciec był mało cieślom, bo wojna go oderwała.* Część z nich została zresztą wykonana samodzielnie przez dziadka jeszcze w czasach, kiedy pana Józefa nie było na świecie: fugownik do gontów, ośniki, cyrkiel, strug, forma do plecenia rękawic „furmańskich” z wełny, które służyły nie ciągłemu noszeniu, lecz ogrzewaniu zmarzniętych rąk w przerwach w pracy w lesie zimową porą. Jako długoletni pracownik leśny pan Iwańczak nie raz doświadczał zbawiennej roli takich rękawic w ciężki mróz. Mamy tutaj i lampę karbidówkę, która przywodzi na myśl posługiwanie się karbidem jako materiałem wybuchowym służącym odstraszaniu nocą dzików od pól ziemniaczanych, co za jej pomocą pan Józef robił jako młody chłopak. Żywe wspomnienia budzi także kołatka (*kłapac*) na Wielki Tydzień, zrobiona dla niego przez ojca, gdy jeszcze chodził do szkoły. Tę listę możemy zamknąć na tabliczce poczty węgierskiej, znaku niegdyś mocowanym do wozu przewożącego pocztę [il. 13]. Wiąże się on z pracą Walentego Ferencka, po którym pozostał wskazany wcześniej mały kuferek, który był mężem siostry babki pana Iwańczaka. Zanim pojechał do Ameryki był wozakiem na poczcie w czasach węgierskich i kursował między Niedzicą a Spiską Starą Wsią. Na starość, samotny, został objęty opieką rodziców pana Iwańczaka, aż do śmierci w 1941 roku. Pan Józef pamiętał go jako dziesięcioletni chłopiec. Kolejna biografia rzeczy, które składają się na to rodzinne muzeum.

Wizytę w izbie zakończmy jeszcze chwilą uwagi skupionej na centralnie usytuowanych złączonych dwóch stołach, przy których stoją dwa szlabanki (*kanapy*) i cztery krzesła, w tym dwa dziadkowej roboty, oraz kołyska, w której spały dzieci naszego gospodarza. W niej, niczym w porządnym muzeum historycznym, lalka (*popka*) przypominająca do czego służył ten dziś już niemal zarzucony mebel [il. 14]. Na stole leży pięć książek, polskich i słowackich, trzy



Il. 12. (fot. Janusz Barański)

rodzinne i dwie pozyskane. Niemal wszystkie sięgają pamięcią do XIX wieku i zachowały się, podobnie jak w przypadku głównej części pozostałych zbiorów, dzięki zapobiegliwości przodków naszego gospodarza. Są to poza tym wyłącznie książki religijne, na przykład słowacka edycja dzieła o życiu Jezusa z 1892 roku [il. 15] czy *Przewodnik chrześcijanina rzymsko-katolickiego*, o którym zresztą wiadomo coś konkretnego. Otrzymał go jeszcze przed II wojną światową od zaprzyjaźnionego z ojcem adwokata z Nowego Targu, który pomagał mu w sporze sądowym, toczonym przez ojca z handlarzem materiałami budowlanymi, gdy budował dom. Fakt przetrwania tej i innych ksiązek, zresztą mocno zniszczonych, przez z górą wiek pod wiejską strzechą, mówi coś również o stosunku lokalnej społeczności nie tyle do czytelnictwa, co wiary religijnej. Zresztą pan Józef przedstawia to następująco:

Co chce powiedzieć teraz, że jacy ci ludzie, nasi przodkowie byli. Zimom, jak mieli troche czasu, ale nie każdygo było stać se kupić tom ksionżke, to ta ksionżka normalnie wyndrowała po wsi. I później tako jest, jako jest – zdarto po prostu, ale nie od siedzynio, a od tego, że czytali ludzie. Jak byli głymboko religijni.



Il. 13. (fot. Janusz Barański)



Il. 14. (fot. Janusz Barański)



Il. 15. (fot. Janusz Barański)

Strych

Strych, jak już zaznaczono, to nie ponure czeluści straszące myszami czy nietoperzami, lecz czyste, suche, oświetlone światłem elektrycznym wewnątrz, zaadaptowane na potrzeby ekspozycji, w szczególności narzędzi i sprzętów gospodarskich oraz ciesielskich i stolarskich. Osobliwie reprezentanci tych dwóch ostatnich fachów wiążą się z tradycją rodzinną, gdyż parali się nimi i dziad, i ojciec pana Józefa. On sam posługiwał się nimi w rozmaitych pracach ciesielskich i stolarce, w tym w budowie budynków gospodarczych w latach pięćdziesiątych w rodzinnym gospodarstwie ojca. Można by rzec, iż w tym materialnym zasobie obecna jest historia rodzinna całego wieku. Pan Iwańczak – nie dopytywany – jest mniej tutaj skory do snucia rozbudowanych opowieści, które wiążą się raczej z pracą i techniką. Niemniej skupia się czasem na pewnych elementach pomieszczonej tutaj kolekcji, zwłaszcza tych, które – podobnie jak to miało miejsce w izbie poniżej – łączą się z tradycją i pamięcią rodzinną, a także gospodarczym i technicznym przeznaczeniem zgromadzonych obiektów. Na taką szczególną uwagę zasłużył sobie warsztat stolarski dziadka, z którego ostatecznie korzystały trzy pokolenia rodzinnych rzemieślników [il. 16], ponad którym nasz kolekcjoner umieścił cały arsenał narzędzi, w większości



Il. 16. (fot. Janusz Barański)

wykonanych przez dziadka [il. 17]. Fakt ów nasz kustosz wyjaśnia przede wszystkim brakiem środków na ich zakup:

A wykonawcom to mój dziadek, który urodził się w tysionc osiymset siedymdziesionym pionym roku – tu jest jego warsztat. Widzi pan. Tu jest jego warsztat – to jest podziadkowy (...). Było to tak, że po dziadkowi, ojciec miał przerwe, bo cztyroletnia tułaczka w pierwszyj wojnie, ale jak wrócił, to tyż się ciesielstwym zajmował.

Narzędzia są tu również swoistymi świadkami historii społeczności lokalnej i regionu: biedy, upośledzenia społecznego i ekonomicznego:

Do tyj pory i jeszcze późnij długo nie każdy se pozwolił. Ludzie byli bidni. Nie szed nigdzie do roboty, to z tyj gazdówki co móg mieć? To było bidnie, no. Przecież jo uważom i dziś powiym, że za tamtych czasów to w sklepie wszystko było. Można se było te rzeczy, te hyble, to już wtedy by kupił. Nie kupił, bo ni miał za co. Musioł siod ku warsztacie, drzewa gdziesik zdobył, wysuszył i robił se. Te narzyndzia, wszystko, to dziadek sam wyprodukował. Gdzie te frezy, gdzie to wszystko? Prócz stali, nie? Co stal, no to już jest, trzeba by było. Ale i tak: hyble robili takie. Pamiyntom, ojciec z tartaku, piły jak odrzucali, z tartaku, to ta



Il. 17. (fot. Janusz Barański)

stal już jest, była już uszlachetniono, żeby ona była wytrzymała jako piła. To brali, że dostał to za złom, nie, i z tych pił ostrza robili do tych narzyndzi stolarsko-ciesielskich.

W ten oto sposób powstały strugi, wykonane przez dziadka i ojca. Lecz w tej „technicznej” części ekspozycji na strychu znajdują się i inne pokrewne obiekty, jak na przykład: łapka na szczury (*oklepiec*), hak rzeźnicki, klucz francuski po dziadku (zresztą więcej narzędzi ma po dziadku niż po ojcu), gwintownik do drewna, a nawet bagnet ojca przyniesiony z I wojny światowej [il. 18]: *Jak to wyrzucić na złom, panie?* – po raz kolejny pada retoryczne pytanie. Znajduje się tutaj również minikolekcja międzywojennych zapalniczek [il. 19]. Również i w tym przypadku jest to okazja do komentarza o kwestiach zgoła nietechnicznych, również związanych z ówczesną sytuacją lokalnej społeczności:

Tak ludzie bidniowali, byli bez piniyndzy, ze choć te zapałki już były w sprzedaży i wtedy już były – no ni miał na zapałki. A kiedy kupił se kamycków i kupił flasecke, ósymke, co kielo, bynzyny, bo tam bynzyny wchodziło odrobina, to godoł, ze cały rok miał pod piyem polić i papierosy se polić. A robili z patronów, naboi, to przeróżne som, przeróżne. To majsterkowice som i każdy se na swój sposób robił. Żoł mi tego na złom dać.



Il. 18. (fot. Janusz Barański)



Il. 19. (fot. Janusz Barański)

Kwestia biedy wybrzmiewa również w zgoła ogólnych wspomnieniach, które snuje nasz przewodnik, jeśli tylko do tego zachęcony:

Jo przeżył bide. Musze panu powiedzieć, było i tak, że kiedy nom krowy, mieliśmy jednom albo dwie, jak zasuszyły, nie doły sie, to jak tam somsiadka przyniesła mleka, to mama jeszcze dołała wody, kie by było wincyj, bo nos było piyńcioro. Jo takie coś przeszed. I to mi zostało tu. I za to, myślę, daje tom odpłate, im tam na drugim świecie jus som, w innym życiu. Ale że nic żem nie zmarnował po nich. Tu jest wszystko.

Narrator daje wprost również wyraz stosunkowi wobec rodziców, co w nieco bardziej zapośredniczony sposób ujawnia się i w innych komentarzach. Jednocześnie rysuje obraz dawniejszej sytuacji ekonomicznej. W innych, rozproszonych i nieco mimochodem wypowiedzianych uwagach odnosi się także do stosunków społecznych i narodowościowych, politycznych, statusów i ról w lokalnej społeczności, jednostkowych karier, organizacji życia i pracy, nadziei i marzeń, zawodów, zrządeń losu, poświęcenia, tęsknoty i rozdarcia towarzyszącemu wychodźstwu za chlebem. Otaczające go obiekty materialne wydają się współnarratorami, przemawiają wraz z nim, stymulując wspomnienia, zmuszając do namysłu nad sprawami zgoła niematerialnymi. Przytoczone do tej pory opowieści, jak również inne, które jeszcze się

pojawiają, zostały wzbudzone właśnie w trakcie peregrynacji po tym mikroświecie przedmiotów. Są niczym katalizator wspomnień i emocji, którym trudniej zaistnieć w sytuacji „zwykłej” rozmowy, prowadzonego wywiadu. Opowieści o rzeczach stają się warunkiem i punktem wyjścia do opowieści o rodzinie czy lokalnej społeczności. Same rzeczy w tej roli wykazują moc sprawczą wzbudzając wspomnienia i emocje. Działają niczym *malanggan*, drewniane rzeźby znane z Nowej Irlandii, towarzyszące ceremoniom pogrzebowym, które – według ich badacza, Alfreda Gella – gromadzą, niczym naładowane baterie, energię zmarłego [1998: 225].

Tak rozumianą, stymulującą do opowieści funkcję posiadanych rzeczy, Janet Hoskins zauważa w pracy poświęconej indonezyjskim Kodi, pośród których prowadziła badania i zauważyła, że niezmiernie trudno wydobyć z nich opowieści o samych sobie i o tym, co posiadają. Nie mają – jak to określa – narcystycznego nawyku „psychologizowania”, który prowadzi do skupienia się mówiącego na samym sobie, jego historiach i jego sprawach, a który pozwoliłby na narrację, która wyszłaby poza redukcję własnego życia na przykład do wymienienia listy własnych dzieci. „Ludzie ci byli nieśmiali i niepewni swojego języka, gdy zostali poproszeni, by opowiedzieć o sobie, okazywali się natomiast wielkimi gawędziarzami, gdy zostali poproszeni o to, by opowiedzieć o tym, co posiadają” – stwierdza Hoskins [1998: 2]. Ludzie i cenione przez nich rzeczy pozostawali w ścisłym związku niemożliwym do rozdzielenia; podobnie historie jednych i drugich. Rzeczy są w praktyce tego ludu pośrednikiem w zdawaniu sprawy z rozmaitych kwestii poprzez ich „osobowy symbolizm oraz idiosynkratyczne znaczenia” [Hoskins 1998: 3]. Niektóre rzeczy okazują się wtedy „obiektami biograficznymi”, „skrzynkami pamięci” przechowującymi obrazy, doznania, uczucia z przeszłości [Hoskins 1998: 5]. Konkluzję jej rozważań na temat znaczenia rzeczy w kulturze badanego ludu można odnieść do wszelkich przypadków, nie wyłączając naszego:

Uważam, że tożsamościowa konstrukcja narracyjna na Sumba jest w złożony sposób spleciona z osobistymi przedmiotami jako konsekwencja ogólnego skupienia tamtejszej kultury na metaforycznych własnościach rzeczy oraz ich funkcji jako zastępczych towarzyszy. Wskutek tego obiekt staje się w istocie czymś więcej, niż tylko „metaforą osoby”. Staje się kluczowym elementem dla procesów refleksji i introspekcji, narzędziem autobiograficznego samo-odkrywania, sposobem na poznanie siebie poprzez rzeczy [1998: 198].

Podobne zależności dostrzec można i we wzajemnych relacjach pana Iwańczaka z artefaktami jego kolekcji. Ujawnia się to również w części sąsiadującej z warsztatem, w której znajduje się, oprócz wcześniej wspomnianych, wiele innych przed-

miotów gospodarskich. W szczególności przykuwa wzrok mini wystawa narzędzi rolniczych urządzona na szczytowej ścianie strychu [il. 20]. *Te płuzki, teraz to u góry co jest, te kosy, to wszystko, to było na samym górze te czynści, które może som od poczontku świata, jo bym tak powiedział, bo to som rzeczy najprymitywniejsze, jakie sobie nasi przodkowie używali przy pomaganiu sobie zboże wyprodukować, omłócić go, oczyścić go – tam wszystkie rzeczy som (...). To jest kosa, grabie, wiejaczka – wiejadło jest, nawet w ewangelii wiejadło jest.* W „odautorskim komentarzu” wystawa zdaje się sięgać jakości zgoła archetypowych, mitycznego pryncypium tworzenia [por. Jannelli 2012: 151] – zarazem złożeń techniki i wierzeń religijnych. Nie przypadkiem zapewne ten fragment ekspozycji zajmuje górną część ściany szczytowej, wznosząc się nad całością – *u samej góry najprymitywniejsze rzeczy*, jakby przewodnik chciał powiedzieć – pierwsze od Boga. To fragment pewnej większej idyllicznej wizji przeszłości, którą dostrzeżemy nie tylko w samych artefaktach i ich aranżacjach, lecz również w towarzyszących im narracjach. Nasz kolekcjoner miał zresztą w tym udział:

Moja generacja, moja generacja, we wszystkich tych, jo bym to nazwoł – starodawnymi narzyńdziami, postugiwołom sie: i cepami'm młócić, i kosom'em kosił, siyrpym'em nie kosił. A jus mi kose tata kupił, do trzecij klasy chodziłym, to mi takom małom kose kupił do pola i po-



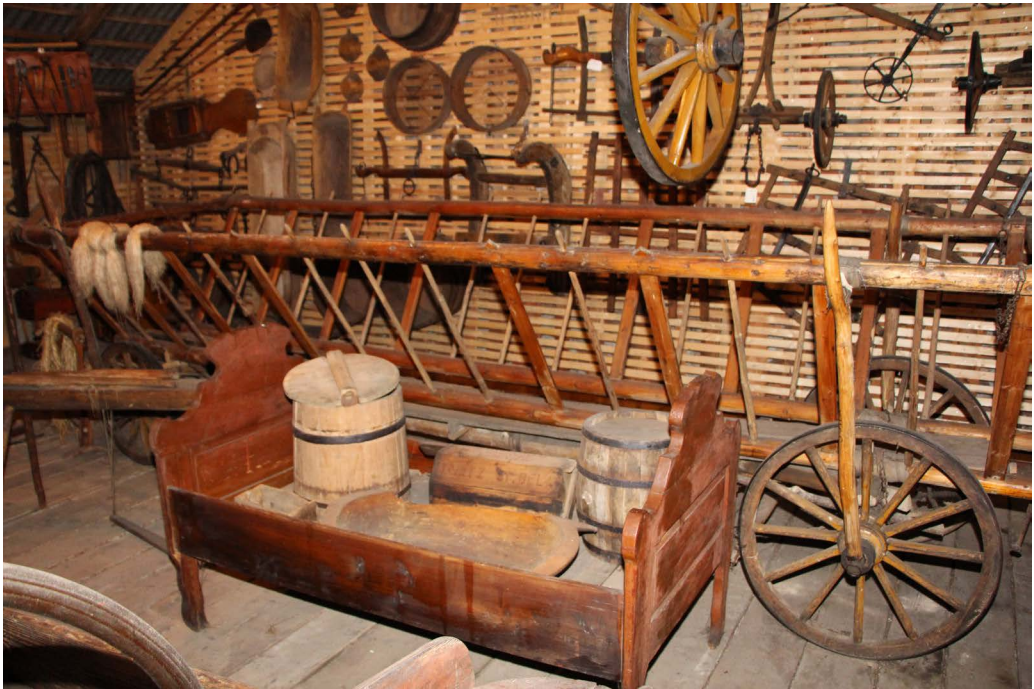
Il. 20. (fot. Janusz Barański)

mogółym mu kosić, nie? I cy te maselnice to robiłym, czyli skosztowółym tych prac, które były w gazdostwu potrzebne. I te narzyńdzia, które som, to za moich młodych lat miołym udział we wszystkim, a w tym sprzyncie tam na ścianie, jak trzaby było zamajstrować, tom był i cieśłom, i troche jak było trzeba po stolarsku coś zrobić, to tys zym z tego skosztowół, tom pomogół jak ojcu i jesce dziadka pamiyntom.

Dziadek i ojciec nieodmiennie towarzyszą wyznaniom o życiowym długu, który zaciągnął pan Józef na całe życie. Poniżej dostrzeżemy jeszcze liczne koszyki, sita, dzieże, miski, beczki, skopce, ceber w którym nastoletni Józek nosił wodę z potoku. *A to wypiek chleba. To wszystko po matce (...). I to było zrobione, co po dziadku nie było, to później ojciec domajstrowół. Mój tatuś. I zostało wszystko. W komplecie: te łopaty, te miski na porcjowanie chleba* – komentuje przewodnik. Uwagę przykuwa i fabryczny przedmiot: *Pudełko, to było cztery kilo drożdży, a skond one? Czyta podpis: Trenciańskie drożdże. Trencin, na Słowacji (...). To też mama, nie wiem, jak sklepik, zostało już nie dużo, to dawół z całom paczkom (...). To zostało do mojego zbioru tam* – tutaj: wspomnienie po mamie, okres wojenny. Opowiadanie z użyciem eksponatów ożywia wspomnienia – rzeczy są nieodłącznym elementem narracji o rodzinnej i lokalnej przeszłości.

W zgodzie z jakimś wyobrażeniem ekspozycyjnej taksonomii można dostrzec pewien gatunkowy ład, który chce zachować autor wystawy. Po pomniejszych narzędziach rolniczych, tych „pierwszych” w porządku bytu i porządku techniki, mamy oto dział poświęcony sprzężajowi, pracy koniem, w którym dominuje okazały wóz drabiniasty z przełomu lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku, zrobiony przez ojca pana Iwańczaka [il. 21]: *Rodzinny, normalnie, do końca my na nim wozili*. Oprócz tego cała masa podków, w które obute były kolejne pokolenia Iwańczakowych koni, orczyki, koła; dalej: sanie, pługi, brony, wreszcie i jarzma, do których zaprzęgano kiedyś nawet i krowy – wszystko z rodzinnego gospodarstwa. Na szczególną uwagę zasługuje niezbędny element końskiej uprzęży, jakim jest jedno z wyeksponowanych chomąt, najważniejsze, bo pierwsze, którego używał ojciec pana Józefa – 1922 rok [il. 22]. Przymocowana jest na nim tabliczka – rodzaj końskiej tablicy rejestracyjnej, która służyła identyfikacji zaprzęgu, zawierająca stosowne dane: *Jan Iwanciak. Niedzica N93* [il. 23]. Z racji ważności sprzężaju w życiu dawnej wsi syn właściciela uwiecznionego na tabliczce wypowiada komentarz na temat ówczesnego rymarstwa: *Nowy Targ słynoł z tego. W Nowym Targu było rymarzy wtedy ile chcioł w tamtych czasach*.

Względnie porządkująca struktura poszczególnych działów wystawy na strychu, eksponującej głównie rozmaite formy aktywności gospodarskiej i wytwórczej,



Il. 21. (fot. Janusz Barański)

pozwala – za przytoczonymi wcześniej propozycjami klasyfikacyjnymi Pearce – na przypisanie elementów kolekcji, zwłaszcza w tej części, waloru systematów. Nasz kolekcjoner podjął oto wysiłek nie tylko zabezpieczenia, zakonserwowania swoich zbiorów, lecz także ich uporządkowania w sposób, który – wedle niego – oddaje istotowy porządek minionego świata wedle podziałów na sfery: domową, religijną, estetyczną, zabawy, wytwórczości rzemieślniczej, zajęć gospodarskich itd. W istocie bowiem daleko idące przekształcenia lokalnej kultury prowadzą do chaosu, jeśli odnieść to do homogenicznego porządku przednowoczesności. Pojawia się wówczas potrzeba okiełznania tego chaosu, a zarazem ocalenia czegoś z mijającego świata. Staje się on bowiem również coraz mniej zrozumiały dla nowych pokoleń, a uporządkowanie jego resztek może sprzyjać jego pojmowaniu teraz i w przyszłości. To jest powód, dla którego pan Iwańczak sięga po quasi-muzealną konwencję porządkowania i segregowania. Kiedyś wskazał na taką praktykę sam Walter Benjamin stwierdzając, że kolekcjonowanie jest takim właśnie ocaleniem z chaosu [1996].

I na strychu, i wcześniej w izbie, pan Józef, jeśli tylko zachęcony do wyjaśnienia funkcji przedmiotów, których przeznaczenie wraz z upływem czasu staje się coraz mniej zrozumiałe, chętnie uruchamia swą pamięć. Robi to jednak, gdy



Il. 22. (fot. Janusz Barański)



Il. 23. (fot. Janusz Barański)

zostaje wyraźnie zachęcony, lecz wówczas wydobywa posiadaną wiedzę w najmniejszych detalach. Na przykład o intrygująco wyglądającym worku na obrok, wyeksponowanym właśnie w tej, szczególnie ważnej części wystawy, powiada: *Karmik polowy do konia. Widzi pan, te podwiniynte dechy tu, bo koń lubi wyszukiwać sobie ziarno, owies. Sie mu domieszało sieczki, to jak by nie było tych bocznych desek, to by wygarnął na pole wszystko. To tys pomysł był, nie? To, to jesce dziadkowa robota* – podkreśla z dumą pomysłowość dziadka, który odegrał chyba szczególną rolę w życiorysie naszego gospodarza. Podobnie szczegółowo objaśnia funkcję żelaznego przedmiotu, przypominającego hak, którego przeznaczenia człowiek współczesny żadną miarą nie mógłby się domyślić. Okazuje się, że ów hak to zmyślny element, pozwalający podpiąć źrebaka do uprzęży konia, zwykle matki źrebaka, co miało służyć nauce młodego konia pracy w zaprzęgu:

Tys mo swojom historie. Widzi pan, tu mo podgiyencie, gdzie sie małego źreboka uczyło jeździć przy starymu koniowi, ażeby go wprawiać, to sie, jak miał już gdzieś tak, jo wiyem, już półtora roku, jesce nawet ni miał (...). To jest haczyk na źreboka. No i, powiedziołby pan, na każde na coś służyło, do nauczynia źreboka roboty przy starym koniowi (...). Jo tyż kilka koni miał w życiu, to każdy koń mo, jak u ludzi jest różny charakter, to u konia to samo. Jak by go spiuk na poczontku, jego źreboka,

od razu z cinyżarym, to by powiedział, że nie, stanął dymba czy co, ale nie będzie. Ale jus to zachował na całe swoje istnienie, jak długo żył, umiał dobrze ciongnąć. Ale jak sie go delikatnie, pomalutku uczyło, to było coś z tego. Ale trzeba było do tego mieć narzyńdzia.

Jannelli [2012: 242–45] zauważyła, że w „muzeach nieoswojonych” prezentacja muzealiów skupiona jest na wartości praktycznej przedmiotów, w odróżnieniu od tych „naukowych” eksponujących ujęcie teoretyczne. W pierwszych obiekty nie są ilustracją kategorii pojęciowych, lecz indywidualnego doświadczenia oprowadzającego, który sięga często do anegdot czy dygresji, daje się ponieść emocjom i zaangażowaniu. Wyjaśnienia nie polegają na analitycznych rozbiorach, lecz wykorzystaniu własnych doświadczeń, co ostatecznie koncentruje się na opisie rzeczy, opowiadaniu o nich nie pozbawionym elementów sceniczności, a czasem dramatyizmu. Co więcej, wystawa zlewa się niejako w jedno ze snutą opowieścią. Przy czym znajduje tutaj wyraz raczej – rozumiana jako praktyczna umiejętność – „wiedza jak”, i kryjąca się za nią pamięć performatywna, niż propozycjonalna „wiedza że” [por. Ryle 1970]. Wiemy już jednak, że nasz przewodnik próbował nadać swej kolekcji właśnie propozycjonalny, klasyfikacyjny kształt. Wydaje się wszakże, iż należy to położyć na karb potrzebie wprowadzenia jednak jakiegoś porządku podpatrzonego w miejscach, w których bywał jako pracownik służb konserwatorskich. Dominuje jednak raczej ów porządek typu *bricolage*, którego przypadkowość koryguje narracyjne skupienie na konkrety i życiowej praktyce. Dobrą tego ilustracją jest ostatnia cytowana wypowiedź pana Iwańczaka, jak również wiele wcześniejszych. Trafnie oddaje tę cechę opinia wójta gminy Łapsze Niżne, do której należy Niedzica, Jakuba Jamroza, który również bywa gościem muzeum:

Więc to tak jest bardzo cenne, jak pan Iwańczak opowiada o tych wszystkich rzeczach. To jest, na pewno dużo bardziej się człowiek z tym wtedy utożsamia. Bo samo to, jak się chodzi do muzeum, no wchodzi się do muzeum, tak? Muzeów jest wiele i człowiek ogląda eksponaty i człowiek nawet nie do końca wie, do czego to służyło.

Przemieszczając się w kierunku podobnym do zwiedzania izby, od lewa do prawa, natrafimy na jedyną w tej części wystawy rekonstrukcję, jednak z punktu widzenia prowadzonej tu wystawienniczej narracji równie ważną, co pozostałe *real things*. Jest to zminiaturyzowany, napędzany silnikiem elektrycznym, model kieratu, powszechnego niegdyś w co bogatszych gospodarstwach urządzenia wykorzystującego siłę pociągową zwierząt, zwłaszcza koni, do napędu takich maszyn gospodarskich, jak siewczarnia czy wialnia [il. 24]. Niestety, nie zachował się oryginał, który był niegdyś użytkowany w rodzinnym gospodarstwie,

zlikwidowany w 1953 roku; nie udało się go również zdobyć w sąsiedztwie czy na wolnym rynku. Nie było zatem innego wyjścia – twierdzi twórca makiety – jak dostarczenie kolekcji choćby jakiegoś substytutu świadka dawniejszej techniki. *Długie lata jo od małego chłopca był zawsze przy tym, bo musiałem siedzieć na dyszlu i popyndzać konia jak sie sieczke żło albo sie młócke robiło* – komentuje z nostalgią pan Józef. Czy jednak model, choćby i ruchomy, może ożywić przeszłość?

Prawdziwymi świadkami przeszłości są natomiast dwie sztuki krosien, o których była mowa wcześniej, a które zostały wyeksponowane w kolejnej części strychu poświęconej przedzeniu, tkaniu, krempłowaniu. Jedne z nich, w pełni sprawne, służą prezentacji wiedzy na ich temat przez gospodarza, który – nie pytany – podaje nazwy poszczególnych elementów tego dawnego urządzenia tkackiego, niemal przez nikogo już nie pamiętane: *blot, nicielnica, kotulka, bardo, podnozaj, suka (...). Nazwów jest tyle na krosna, a niektóre se pozapominoł juz. To to se zapomnioł zaś chyba – tys mo nazwe (...) nawój górny, nawój dolny* – wykazuje znaczną kompetencję nie tylko w ciesiołce czy stolarce [il. 25]. W ogóle wyraźnie ożywia się podczas wyjaśniania szczegółów procesu tkackiego, lecz również owego procesu prezentacji nielicznym odwiedzającym, w szczególności dziatwie szkolnej, która bywa tutaj przyprowadzana przez lokalnych nauczycieli. Rzecz ta wyjaśnia



Il. 24. (fot. Janusz Barański)

się nieco po deklaracji: *Jo to odebrołem, od dzieckam posługiwoł z matkom, gdzie potrzeba było, od małygo sie siadało i trzeba było podawać nici, trzeba to – pomagać trzeba było.* W tej części strychu znajdują się także kremple, używane w domu rodzinnym pana Iwańczaka, które służyły wstępnej obróbce wełny owczej.

Z kolei opodal stoją żarna – inne niezbędne niegdyś gospodarskie urządzenie, dla których drewnianą konstrukcję sporządził – oczywiście – mistrz stolarskiego fachu, dziadek pana Józefa [il. 26]. I to urządzenie przypomina mu matkę: *Ile jo umłoł sie jako chłopok, do szkoły chodził. Mama mi naszykowała miarke pełnom, to nie szybko się dało zemlić.* Ostatni przypadek artefaktu, jak i przytłaczająca większość elementów kolekcji, ma służyć nie tyle opisaniu przeszłości, i to w jakiś teoretyzujący sposób, lecz ucieleśnieniu historii konkretnych ludzi, których tożsamość wykuwała się w związkach z rzeczami i w nich też się wciąż zawiera [por. Jannelli 2012: 158]. Wreszcie, musiało się znaleźć miejsce na rozmaite inne obiekty, którego brakło w izbie na dole: dalszych kilka amerykańskich kufrów podróżnych; kredens, szafa i skrzynia z domu rodzinnego żony; stół – oczywiście wykonany przez dziadka; kołyska – tym razem dzieło samego kustosza, którą zrobił dla swojej pierwszej wnuczki. Tym bardziej nie było miejsca i dla motowidła, kołowrotka czy dawnej dużej wagi gospodarczej, którą również otrzymał od sąsiada.



Il. 25. (fot. Janusz Barański)



Il. 26. (fot. Janusz Barański)

Nad całością góruje obraz „Ostatnia Wieczerza” pochodzący z sąsiedztwa, który przeleżał się zwinięty wiele lat na strychu, zbyt duży, by go umieszczać pośród pozostałych na dole w izbie. Nasz kolekcjoner sam go oprawił i umieścił – zgoła symbolicznie – na przeciwnym szczycie strychu wobec wspomnianych wcześniej *najprymitywniejszych rzeczy* [il. 27].

Całość kolekcji na strychu opatrzona została – by tak rzec – deklaracją misji rodzinnego muzeum pana Iwańczaka, spisaną drukiem na kawałku tektury, przy-mocowanym do jednej ze strychowych belek, językiem będącym mieszanką gwary spiskiej, polskiego i słowackiego, którego pisma uczył się mały Józek w słowackiej szkole [il. 28]:

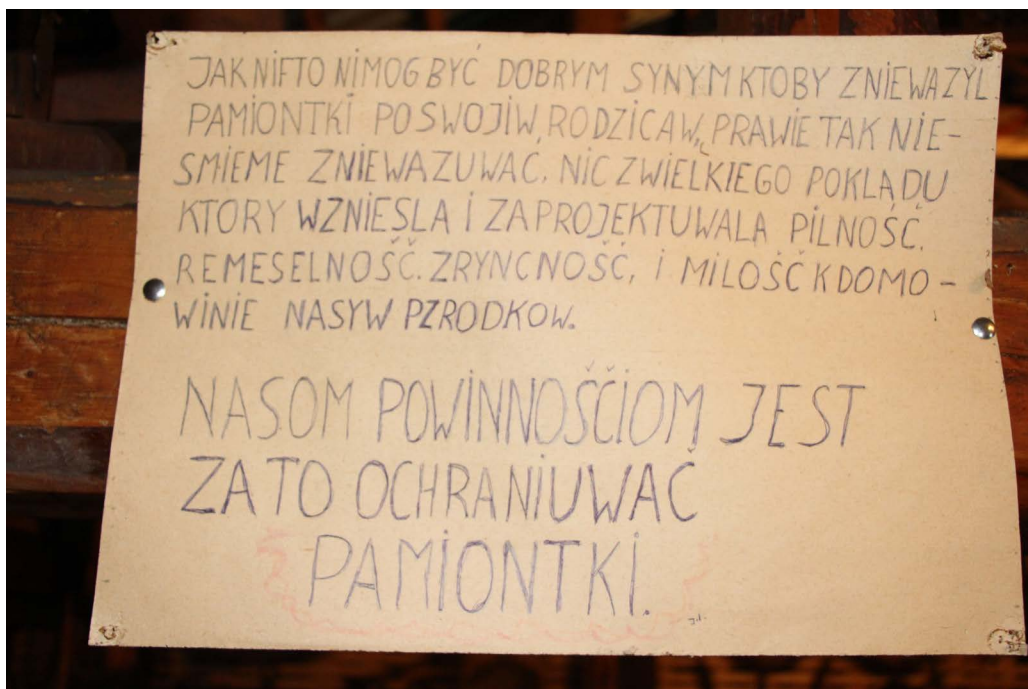
Jak nifto ni mog być dobrým synym ktoby zniewazyl pamiontki po swoiów rodzicaw, prawie tak niesmieme zniewazuwać, nic z wielkiego pokladu ktory wzniesla i zaprojektuwała pilnošč, remeselnosť, zryncnosť, i milosť k domowinie nasyw psrodkow. Nasom powinnoščiom jest za to ochraniuwać pamiontki.

Na innej tekturze, opartej o niewielką szafkę, nawołuje jeszcze słowami [il. 29]:

Zbiór staroci to kultura nasyw przodkow winni my som współczesne generacie szanować i pielengnować.



Il. 27. (fot. Janusz Barański)



Il. 28. (fot. Janusz Barański)



Il. 29. (fot. Janusz Barański)

By nie było tego zbyt mało, nad tą częścią ekspozycji na strychu wznosi się również zbiór makatek z pomieszczonym pośród nich jeszcze jednym hasłem przyświecającym twórcy kolekcji [il. 30]:

Makatki rencnie wysywane to dielo nasyw babciow i nasyw prababciow.

Te przykłady rękodzieła to ostatnie z części omówionych powyżej eksponatów i ich biografii, z którymi splatają się biografie ludzi – samego pana Józefa, członków jego rodziny, rzadziej osób obcych – składające się na społeczny mikrokosmos lokalnego świata, jego pamięć i tożsamość. Mimo że snuta tutaj opowieść, w równym stopniu werbalnie – przez samego przewodnika, jak i materialnie – językiem własnym rzeczy, które ucieleśniają zarazem zdarzenia i wartości, dotyczy nade wszystko wąskiego kręgu rodzinnego, to jednak nie sposób jej wieść bez odniesień do pewnego ogólniejszego, kulturowego porządku. Widać to w zamyśle rekonstrukcyjnym izby, jak również stworzeniu pewnych, choć dosyć luźno potraktowanych, „działów” wystawy na strychu. Nie bez znaczenia jest doświadczenie zdobyte przez naszego muzealnika w krakowskiej Pracowni Konserwacji Zabytków, dla której pracował przez sześć lat na Wawelu, w Pieskowej Skale czy na zamku w Niedzicy. Fakt ten nie był również bez wpływu na stworzenie muzeum: *Jeśli chodzi o zainteresowanie tego, to mnie toto mobilizowało do szanowania starych rzeczy.* W izbie



Il. 30. (fot. Janusz Barański)



Il. 31. (fot. Janusz Barański)

znajduje się nawet *kopaczka do wykopywania rynn*, narzędzie ciesielskie, służące wydrążaniu drewnianych rynn, które czterdzieści lat temu wykonywał właśnie dla zamku w Niedzicy: *To w sumie mnie zainspirowało, że cym to jest te starocia, to zrozumiałym, to jest historia, to jest najleszo historia, nie? To jest historia. Jakby to zaginęło, to coś nos, to by nie wiedzieli to młode pokolynie, jak toto, jak sie to, by myśleli, ze to od pocontku komórki były, od pocontku samoloty? Nie, nic nie było – wskazuje wprost na znaczenia tej formy aktywności zawodowej dla stworzonego później muzealnego dzieła. Oczywistym tego wyrazem jest oprawny duży zeszyt o tytule *Muzeum kultury materialnej Spisza. Księga Gości. Prywatne zbiory Józefa Iwańczaka*, który podsuwa nielicznym zwiedzającym z prośbą o wpis [il. 31]. Charakterystyczne, że połowa wpisów jest po słowacku.*

Muzeum rodzinne

Na tym można by zakończyć relację o *prywatnych zbiorach Józefa Iwańczaka*. Jak widać jednak z powyższego, efektem wizyty w dawnej stajni, która stała się swoistym muzeum, nie jest jedynie rejestr zgromadzonych tam artefaktów. Miejsce to jest bowiem nie tylko materialnym repozytorium, *muzeum kultury materialnej Spisza*, gdyż zgromadzone tutaj przedmioty materialne, lecz także źródła pisane czy wizualne, są świadkami historii, które już w trybie postpamięci przekazują poprzez ich strażnika wiedzę kulturową młodszemu pokoleniom. Przypomnijmy – za Katarzyną Kaniowską – w jakich okolicznościach kulturowych pojawia się owa postpamięć i co ją charakteryzuje:

Postpamięć gromadzi treści zapamiętane i tkwiące w świadomości, nie pochodzące z naszego własnego doświadczenia, ale z doświadczenia naszych bliskich, którzy opowiadając o nim, przeżywali je z nami powtórnie. Podstawowe znaczenie dla tego rodzaju pamięci mają empatia i splecenie narracji podmiotu o swoim doświadczeniu z narracjami o doświadczeniu bliskich mu osób. Postpamięć jest materiałem, na bazie którego podmiot buduje swą tożsamość, przejmując w dużej części elementy tożsamości jednostek bliskich mu emocjonalnie i intelektualnie. (...) scala ona więzi międzygeneracyjne, znosi dystans pokoleniowy, ponadto stwarza podstawę do głębokiego, osobistego odniesienia do przeszłości (2014: 390).

Pan Iwańczak postanowił tę wtórną pamięć utrwalić nie tylko poprzez zgromadzenie w jednym miejscu jej materialnych śladów, hojne dzielenie się własnym doświadczeniem z innymi, lecz wiedzę tę również cokolwiek sformalizować i zarchiwizować, a nade wszystko spisać. W tym celu stworzył swoistą księgę inwentarzową [il. 32]. Można by rzec za Aleidą Assman, że zgromadzone obiekty wyszły już ze

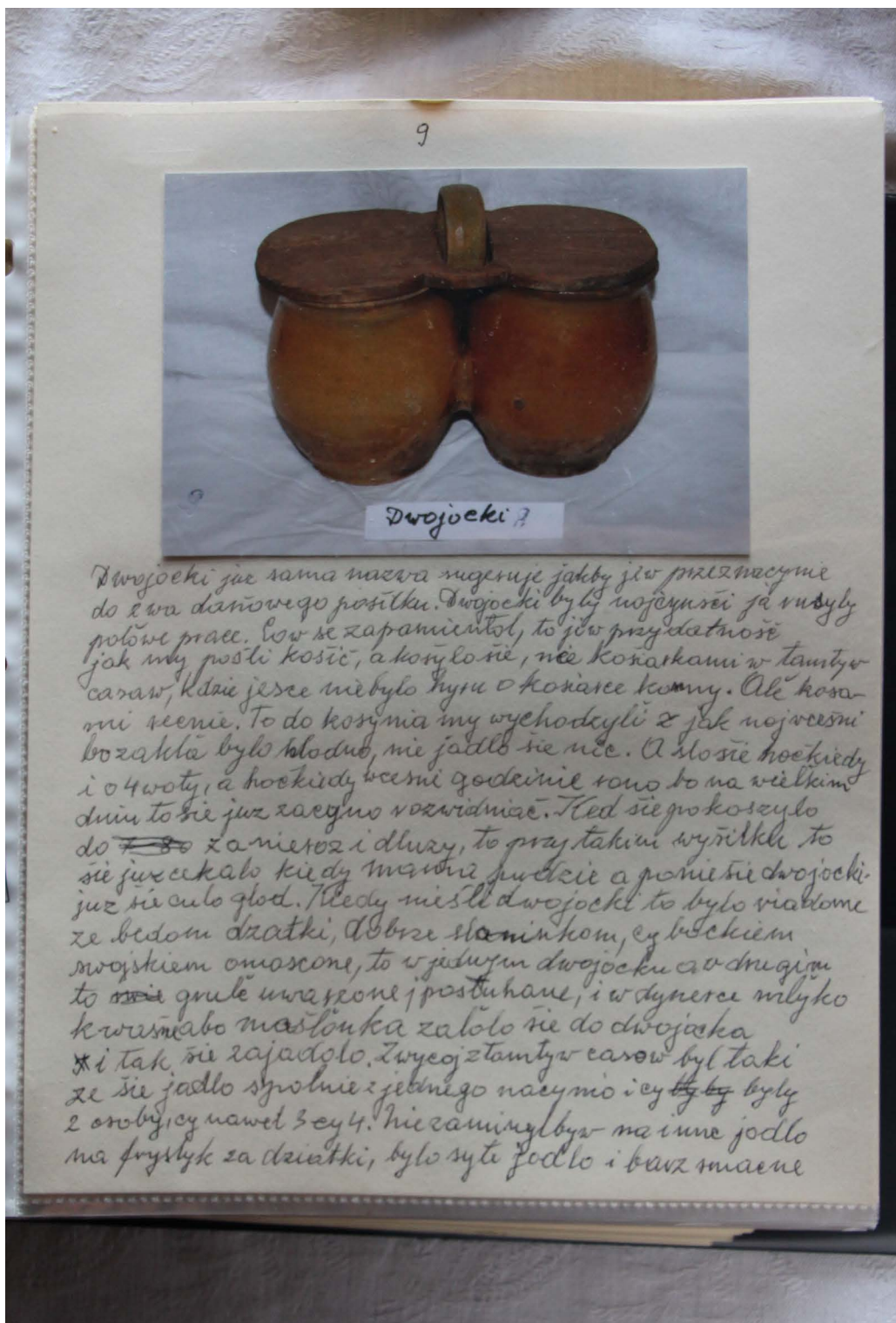
sfery pamięci funkcjonalnej, tutaj dotyczącej w szczególności niwy codzienności czy rodziny (choć pozostała na przykład wiara religijna), pamięci przekazywanej w trakcie bezpośredniego kontaktu i komunikowania uczestników życia danej społeczności. Domagają się wobec tego innej pamięci, która by je ocaliła – magazynującej i zapośredniczonej, praktykowanej w muzeach i bibliotekach, a jeśli odnieść to do wspomnianej księgi – pamięci archiwizującej [por. Assman 2013b: 132]. Pan Józef sięgnął do środka zaradczego, dającego większe szanse skutecznego przekazu kolekcji przyszłym pokoleniom. Podjął próbę rozwiązania problemu, którym zamartwiała się Lois Reget w przytoczonej wcześniej relacji McCrackena. W tym archiwizowaniu z pomocą przyszedł Michał Pol, mąż młodszej córki, Agaty, który wykonał zdjęcia analogowe wielu z obiektów. Córka z kolei przygotowała ową księgę w formie skoroszytu, na którego kartach przykleiła zdjęcia, zostawiając miejsce na opis. Naszemu kustoszowi pozostało jedynie sporządzenie, w czasie długich zimowych wieczorów, odpowiednich opisów. *Tata chciał to, żeby zdjęcia, a myśmy mu dodali pomysł ten, żeby właśnie opisał to wszystko, bo by zginęło, czy nazwy, znaczy nazwy są tu* [niektóre obiekty podpisane na ekspozycji – JB], *ale tam już do czego służy, jak i co i jak* – wspomina Agata Pol. Wszystko to ma zapewnić przekaz pamięci o lokalnej kulturze. Oto przykładowa karta [il. 33]:

Dwojocki juz samo nazwa sugeruje jakby je w przeznaczynie do 2 wa dańowego posiłku. Dwojocki były najcynśej ja rusyby połowe prace. Cow se zapamientol, to jew przydatność jak my pošli kosić, a kośyło się, nie kosiarkami w tamtyw casaw, kdzie jesce nie było hyru [wieści – JB] o kosiarce konny. Alé kosami recnie. To do kosynia my wychodzili z jak najwceśni bo zaklá bylo hlodno, nie jadlo się nic. A slo sie hoékiedy i o 4 woty, a hoékiedy wcesni godzinie rano bo na wielkim dniu to się już zacyno rozwidniać. Ked sie prokoszylo do zanieroz i dluzy, to przy takim wyśilku to sie już cekalo kiedy mama pudzie a poniesie dwojocki już sie culo głod. Kiedy nieśli dwojocki to było wiadome ze bedom dzatki, dobrze sloninkom cy bockiem, swojskiem omascone, to w jednym dwojocku a w drugim to grulé uwarzone i postuhane [utłuczone – JB] i w dynerce [bańce – JB] mlyko kwaśne abo maślónka zalólo sie i tak sie zajadalo. Zwycoj z tamtyw casow był taki ze sie jadlo spolnie z jednego nacynie i cy były 2 osoby, cy nawet 3 cy 4.

Powyższe działanie pana Józefa, oprócz wspomnianej wcześniej księgi gości, jak również fakt wyłaniania się ze zbiorów pejzażu regionalnej kultury, nie powinien jednak unieważnić istoty omawianego przedsięwzięcia – jego charakteru rodzinnego. Mimo treści karty tytułowej księgi gości, odsyłającej do całego regionu, stworzona księga inwentarzowa ma jednak głównie charakter rodzinny: *To jest*



Il. 32. (fot. Janusz Barański)



Il. 33. (fot. Janusz Barański)

*coś, co na zewnontz nie daje, to jest rodzinna historia i po prostu powiedzieć tak, że – jak by tu powiedzieć – tylko dla rodziny, tylko dla rodziny. Jo swoje życiorysy wstawił, mego ojca życiorysy, to wszystko, one majom po mnie co czytać. One, czyli dzieci, wnuki ... Nie byłem tutaj wyjątkiem – pan Iwańczak dał mi do wglądu jedynie tę część księgi, w której opisane zostały artefakty, fakty zaś z historii rodzinnych zachował dla najbliższych. Czyż jednak w owych artefaktach nie skrywają się również właśnie *rodzinne historie, życiorysy*? To chyba pytanie zgoła retoryczne wobec charakteru przedstawionej powyżej kolekcji i towarzyszącej jej żywej narracji przewodnika. Jeśliby ktoś jednak chciał mieć lepszy wgląd w owe *życiorysy*, może pewną dozę innej jeszcze nieco wiedzy zaczerpnąć z wystawy licznych rodzinnych zdjęć, dokumentujących życie kolejnych pokoleń, urządzonej w korytarzu przylegającym do izby [il. 34].*

Pan Iwańczak wspominał o istotnej roli własnych dzieci nie wyłącznie w trybie biernego adresata tworzonego muzeum, lecz całkiem czynnego elementu sprawczego. Tą inspiracją miał się zresztą z nimi dzielić, na co wskazuje Agata Pol:

Ja jestem z taty dumna, przede wszystkim, znaczy, w nim zawsze coś takiego było. On twierdzi, że to ja mu podałam ten pomysł, tak on twierdzi. Bo jak parę takich starych rzeczy żeśmy na początku znaleźli, to ja mówię wtedy: tato, to musisz gdzieś zawiesić w jednym miejscu.



Il. 34. (fot. Janusz Barański)

Wtóruije jej starsza siostra, Irena Kucab: *My nawet się tak czujemy, że jesteśmy prowokatkami tego (...). A potem, jak on złapał, że myśmy się tym cieszyły, to poszedł jak burza.* Agata Pol dodaje jeszcze kilka słów na temat wskazanej wcześniej roli starego domu rodzinnego oraz własnego stosunku wobec kolekcji:

Ten dom stał bardzo długo pusty taki, zaniedbany. To te rzeczy były tak po kątach porzucane, ale tata nigdy nie dał zniszczyć, gdzieś tam poukładał na szopę, powkładał na strych, jak pamiętam. Te obrazy widziałam, zdjęcia po tych, te lampy, takie niektóre. Jedna lampa, ta na górze wisi [na strychu – JB], to bardzo mi się zawsze podobała, w jednym z tych pokoiów wisała. (...) to się wszystko znalazło w jednym miejscu – to jest fajne. No ale te rzeczy, bardzo dużo, no to wszystko, to, na tym moja mama masło robiła, koryta, to pranie pamiętam, różne rzeczy pamiętam. To tam, wszystkie te pojemniki – to pamiętam przy stajni, to nosili te zboża (...). Niektóre rzeczy były nawet w użytku długo – jak było potrzebne, to się używało (...). Ja się cieszę, że nie zniszczone jest i jest tu.

Wskazane wcześniej przykłady oddolnych inicjatyw kolekcjonerskich w rejonach świata geograficznie i kulturowo odległych od Spisza, Polski, świata zachodniego wykazywały istnienie ich funkcji transmisji nade wszystko tradycji rodzinnej. Taką rolę zdaje się pełnić również zbiór pana Józefa. Siła tego oddziaływania sięga nawet za ocean, co podkreśla Agata Pol, miejsca zamieszkania jej i pozostałego rodzeństwa oraz ich dzieci:

Ja się cieszę, że inni mogą przyjść, no szkoda, że my nie możemy [na co dzień – JB]. Moim dzieciom też pokazujemy, przychodzą, oni wiedzą, że to jest. Cieszą się. Mam gazety, które były redagowane, mam też po angielsku wersje [wydany w USA przewodnik po Pieninach, w którym wspomniane jest muzeum pana Iwańczaka – JB], więc wiem, że dzieci nawet w szkole opowiadają, że jego dziadek robi to a to. Pisali nawet jakieś opowiadania. Są na swój sposób dumni trochę z tego, że coś takiego dziadek robi.

Córki przyczyniają się do tego wszak całkiem intencjonalnie, jeśli – jak mówi Irena Kucab – w jej amerykański jadalni wisi zdjęcie dawnej spiskiej izby stworzonej przez ojca. Jak ważne to jest w świecie współczesnym, w którym nie należy do rzadkości rozłąka członków rodziny, w naszym przypadku – jednej ze spiskich rodzin, rozdzielonych przestrzenią, wskazuje Tim Edensor:

W coraz większym stopniu, pomimo pozornej stałości domu, poczucie domowej przytulności można osiągnąć nie tylko poprzez usytuowanie w konkretnej przestrzeni fizycznej, ale także poprzez domowe sieci

ludzi i informacji. Za pomocą rozmowy telefonicznej, poczty elektronicznej, radia czy telewizji transmitujących programy narodowe, domem może stać się układ regularnych powiązań i kontaktów. Jest to możliwe, a nawet coraz powszechniejsze, ponieważ poczucie domu przejawia się na wiele jednoczesnych sposobów, w formie sieci społecznych i kulturowych, które stają się coraz bardziej złożone. Szuka się jednak znanych punktów odniesienia. Nigdzie nie widać tego wyraźniej niż w przypadku ‘domów daleko od domu’, stwarzanych przez społeczności żyjące na obczyźnie [2004: 85].

Ów „dom daleko od domu”, którego podobizna wisi na ścianie, nie może jednak w pełni zastąpić tego, do którego można wejść, być w nim i którego wyposażenie można dotknąć. Irena Kucab ma tego świadomość – sensualnej siły konkretnych rzeczy reprezentujących jakieś uniwersum aksjologiczne, które okazują się ostatecznie pomocne w określaniu tego, kim jestem: *Mam taki wewnętrzny szacunek do czegoś, co było (...). Chociaż na trzy pokolenia trzeba coś wiedzieć. Bo jak nie wiem, to kim ja jestem, sama nie wiem, kim jestem.* Dla wychodźców ze Spisza, a obecnych mieszkańców dalekiej Ameryki, okresowe powroty mają służyć utrwalaniu odpowiedzi na nieustannie stawiane pytanie: *kim jestem?* Zmysłowego, bezpośredniego kontaktu ze światem, który uosabia kolekcja, to, co najbardziej rdzenne w poczuciu, będącym odpowiedzią na to pytanie, że jestem tym, a tym, nie sposób przecenić.

Kolekcjonowanie jest bowiem aktem autodefiniującym, jak utrzymuje Renata Tańczuk – ono rzeczywiście mówi, kim jestem [2011: 263]. Hoskins powiada przy tej okazji, że obiekty materialne mogą być kluczowe dla refleksyjności i introspekcji, mogą być „narzędziem samo-odkrywania, sposobem na poznawanie siebie poprzez rzeczy” (1998: 198). Wiemy już, że córki pana Iwańczaka nie są jedynie biernymi „konsumentkami” stworzonego dzieła – również i one do niego się przyczyniły. Tożsamość kolekcjonera zależy od rzeczy, nawet jeśli ta rzecz nie koniecznie wiąże się z jego indywidualną biografią, a biografią ojca, dziada, a nawet dosyć odległego w czasie krewnego, po którym pozostał jedynie kufer, z którym podróżował do Ameryki. Za pomocą tych rzeczy kolekcjoner opowiada o sobie, lecz także o genealogii i historii rodzinnej, która składa się również na jego „ja”. Kufer należy do jaźni poszerzonej owego krewnego, a zatem kolekcjoner w niej partycypuje wnosząc gmach podzielanej, międzyjednostkowej jaźni rodziny, a czasem i całej społeczności. Ów kufer jest – ogólnie rzecz ujmując – symbolicznym artefaktem odsyłającym do istotnego motywu historii rodzinnej, szczególnie dotyczącej ostatnie pokolenia – migracji. Jest metaforą, która odsyła do rozbudowanej pamięciowej narracji kilku pokoleń Iwańczaków, lecz również innych spiskich rodzin, wędrujących za

chlebem, a zarazem jednym z elementów ich tożsamości. Jego symboliczna misja spełnia się w uzasadnieniu migracji, a zarazem przewyciężeniu traumy rozstania i utraty, którą ona pociąga. Na końcu znajduje się tożsamość – autowizerunek, który pozwala pogodzić wybory, które sprawiają, że jesteśmy tymi, kim jesteśmy. Na ten temat wypowiada się również Pearce:

Kolekcje są zbiorami obiektów i – jak wszystkie inne zbiory obiektów – są wynikiem działania wyobraźni – po części zbiorowej, a po części jednostkowej – metaforami, które mają wytwarzać znaczenia pomocne w dochodzeniu do tożsamości jednostkowej oraz każdego jednostkowego poglądu na świat. Kolekcje tworzy się – według ich właścicieli – w celu wyłączenia ich ze świata zwyczajnych towarów i włączenia w świat wyjątkowego znaczenia, który najlepiej oddaje słowo „sakralny”. Kolekcje zajmują szczególne miejsce w procesach wytwarzania wartości, ponieważ sfera wartości to w istotnym zakresie wytwarzanie raczej wyobrażeń aniżeli potrzeb; a w grze wyobraźni obiekty same są aktorami o wielkiej mocy [1995: 27].

Powyższe przemyślenia podziela zresztą i nasz bohater, dając wyraz intuicji równej wytrawnym badaczom kultury materialnej: *To, co sie na ksionżce naniesie i zdjynca, to nie jest to samo, co dotknońc tego i widzieć toto*. Szczęśliwie zdjęcie na ścianie amerykańskiego domu przekształca się w swój sensoryczny odpowiednik w trakcie odbywanych co dwa lata wakacyjnych pobytów w domu rodzinnym na Spiszu. Tak więc wszyscy członkowie rodziny Agaty Pol – ona sama, jej mąż i dzieci – doświadczają kontaktu ze świadkami rodzinnych historii osobiście:

Pierwsze, to przychodzimy zobaczyć, co nowego, pierwsze, jest tutaj odwiedziny (...). No nie, że przybywa, bo już jest tego tak dużo, że ciężko byłoby tę nową rzecz zauważyć, nie? Ale, no, na przykład na początku to zmiany były, widać było, nie? (...) Ja ich [dzieci – JB] uczę, że jeśli oni sobie tu przyjdą usiąść, to mają pamiętać, że są nie w zwykłym pokoju, tylko w, no, na swój sposób specjalnym pokoju, nie? Więc oni umieją to uszanować. I proszę ich, że ma tu być taki pokój, który jest ważny.

Podobnie rzecz się ma z siostrą, Ireną Kucab, oraz jej dziećmi, dla których muzeum jest materialnym wehikułem w przeszłość:

Jak moje dzieci tu przyjeżdżają, to nie byłabym w stanie im czegoś powiedzieć bez pokazania (...). Weź komuś opowiedz, jak pracował kierat. No to można trochę, ale ta makieta, którą dziadzius im stworzył, to dla dzieci właśnie stworzył, żeby oni mogli wiedzieć, jak to było. Bo jest zdjęcie, ale co to zdjęcie? No to, ale jak to idzie. Gdyby kierat był prawdziwy tutaj na podwórku, to dopiero byłaby frajda.

Nie uchodzi to również obserwacji ich dziadka: *A tak se myślę, no se myślę, i córki zostajom, dzieci, wnuki mom, to wszyscy oni wiedzom i se tu przyjdom. Teroz ta najmłodsza [trzyletnia wnuczka – JB] była to tak lotała tu do tego, tu do tego, w tyj kołysce cały cas, przysła sie tu pobawić, no to od mała mo to już.* Oto obrazek początków sensorycznego przekazu międzypokoleniowego – wnuczka bawi się lalkami, które są na ekspozycji w izbie. Wydaje się, że dopiero tak dogłębna zmysłowa forma obcowania ze śladami przeszłości, również dorosłych członków rodziny, w tym w szczególności córek, pozwala na docenienie wagi kolekcji jako kapitału rodzinnego. Nie wprost wyraża taką intuicję Irena Kucab:

To jest wielkie bogactwo, o którym nie mieliśmy pojęcia (...). A tatuś to gdzieś tam miał w sercu, że on tego pragnął – zachować to, co zostało. Jak gdyby stworzyć coś takiego małego, żebyśmy my mogli gdzieś tam sięgnąć do tego i przyjść, i się zadumać, i zastanowić. Bo tu po dziadku, a tu po babci, a tu jakieś zdjęcie.

Czy powyższe świadectwa wystarczają, by zgodzić się co do głównie rodzinnego charakteru przedsięwzięcia? Wydaje się, że wprost wypowiedziane już motywacje nie pozostawiają wątpliwości. Pearce zauważa, iż często „motywy zbierania są ważniejsze od jego zawartości” [1995: 27]. Przemawiają za tym i wyznania, które niekoniecznie odnoszą się bezpośrednio do dyskutowanej kolekcji, na przykład na temat kanonu wartości, w tym w szczególności rodzinnych, lecz również regionalnych i religijnych, wyznania którymi dzieli się nasz strażnik tych wartości:

Tak to w tyj rodzinie sie zakorzyńiło, ze jo to mom, i dziś swoje dzieci mom. Musze panu powiedzieć, jak jedna córka, tak druga, wszystkie, one to cujom, jo im dajem wzór, im pokazujem i im godom: róbcie co róbcie, pracowitości uccie, skromności uccie, pobożności uccie, a wartości żeby nie były na ostatnim miejscu. I cynsto im to mówiłym (...). Mnie to babka wbiła do głowy tam jedna, ile już jest w zimi.

Tak oto aksjologiczne przesłanie ma – z pokolenia na pokolenie – mieć zapewniony przekaz treści, które stanowią o sensie życia. Służyć temu ma również repozytorium owej aksjologii – niepozornych starych, czasem już niezrozumiałych przedmiotów: *Niechby to służyło nastympcom, nie? Niektórzy przyjdom jeszcze po mnie i niech se każdy późnij jak dorosto, dojrzewo, niech se przemyśłoł: że jak sie żyło kiedyś i jak sie żyje dziś – wyznaje pan Józef. Idzie nawet dalej zakładając, że nie tylko chodzi o zachowanie tego, co było, lecz tegoż zgłębianie, co dla niego samego jest nieustającą nauką i ma nadzieję, że dla następnych pokoleń również: *Jo uważom, że z biegiym życia to coraz lepiyj bedzie sie nad tym zastanawiać, co dziadek poskładał, jak to było, no. Bez takich pomysłów to takie życie, bym powiedział, jo wiym, jak by to**

nazwać, jałowe. W świetle innych komentarzy zapewne owo „składanie” należy już tutaj rozumieć bardziej aksjologicznie i światopoglądowo, niż instrumentalnie i użytecznościowo – rzeczy wraz z upływającym czasem przemieszczone zostają w sferę metafor, jak chciałaby Susan Pearce, lub semioforów, jak utrzymuje Krzysztof Pomian [2001].

Periodyczne powroty do domu rodzinnego nie pozostawiają obojętnym na zamknięty w ścianach dawnej stajni świat, czemu wyraz daje Irena Kucab:

Wiele się mi tak właśnie teraz rozjaśnia, jak widzę te sprzęty różne. Jak ich nie było, to nie miałam, to tabula rasa, a jak to jest, to mi się pewne rzeczy jak gdyby film przesuwa. I widzę babcię, jak na krosnach robi (...). Widzę warsztat, ten, co tato tu ma. Jak chodziłam jako pewnie mały berbeć, bo się bawiłam w tych od heblowania z desek czy z drzewa, takie jakby loczki od struga. Z tego brałiśmy na podpałkę do pieca, a dziecko się uwielbiało w czymś takim bawić. Ja to pamiętam, jak dziś. Ale ja tego wcześniej nie pamiętałam (...). Jak to zobaczyłam, to się odgrywa ten film z powrotem (...). Wóz drabiniasty – no to są wspaniałe rzeczy. Jak tak się wyjdzie, to człowiek się topi w tym, w tych czasach starych.

Należy jednak przyznać, że nie zawsze i nie wszędzie działanie pana Iwańczaka znajdowało zrozumienie, nawet wśród niektórych członków rodziny:

Dalsza rodzina, czyli po siostrach, to bym tak powiedział: ich takie rzeczy nie interesowały, to można było, dopiero teraz, jak spostrzegli, bo tu mnie odwydzajom. Po siostrze syn, był tu teraz miesionc, nie – dwa tygodnie, jak odjechał, to przyszed, oni zaczynajom teraz przemyśleć, że skund to wujkowi, jako wujek, nie, skund to wujkowi przyszło na myśl, że takie fajne rzeczy se zrobił (...). Uważom, że ta rodzina dalso dopiero teraz skapowała, że cyj o to obroł dobrom droge psy tym, cy nie dobrom. No ale widzimy, że som zadowolyni z tego.

Być może trzeba pewnego dystansu, również geograficznego, jak to ma miejsce w przypadku Ireny Kucab, która dostrzega w dziele swego ojca dwojaką aksjologię: *Część mnie daje mi takie wspaniałe uczucie, że właśnie mam zaszczyt być córką tego człowieka, który takie coś zrobił. (...) czuję też, że jestem częścią czegoś, co ma wpływ na innych ludzi. Czy poza rodziną mamy tutaj do czynienia rzeczywiście z wpływem na innych ludzi, jakimś społecznym oddziaływaniem?*

Muzeum inkluzywne

Już przytoczone wcześniej obrazy i narracje pozwalają na stwierdzenie, że mimo deklarowanej i zamierzonej, rodzinnej ekskluzywności kolekcji, stała się ona przedmiotem uwagi i zainteresowania osób i gremiów spoza rodziny. Ujawnia

się to już w znanym etnografom, paradygmatycznym wręcz doświadczeniu terenowym, gdy członkowie społeczności odsyłają do osoby uchodzącej za kopalnię wiedzy na temat lokalnych spraw. Tak się sprawa ma i z panem Iwańczakiem, który uchodzi za takiego właśnie strażnika tutejszej pamięci, co wyraża się również każdorazowo nieodłączną wzmianką o jego muzeum. Nie oznacza to, że lokalni mieszkańcy są częstymi gośćmi w owym muzeum, choć dotyczy to niektórych przedstawicieli pokolenia pana Józefa. On sam zauważa jednak zarazem, że zainteresowanie jest – oględnie rzecz ujmując – ograniczone, choć – z drugiej strony – nie obnosi się z dziełem, które stworzył: *Jo nie reklamuje sie, nie wystawiom etykiety, ze tu mom zbiór staroci. Wita jednak każdego przybysza, również spoza wsi i regionu. Ma przy tym pełną świadomość potęgi modernizacyjnego ukąszenia, które zwłaszcza wśród ludzi kojarzących stare z doświadczoną biedą i upośledzeniem, poczyniło chyba szczególnie dotkliwe spustoszenia w sferze wartościowania własnej kultury. Niemniej ma w swym gronie grupkę rówieśników, którym zdarza się przychodzić, by spędzić kilka chwil w obcowaniu z przeszłością:*

Mom takich tu, niektórych, co jak przyjdzie, to pojde do tyj izby pogodomy se (...), moich kolegów takich. Mo jakieś coś, a nie chce, na przykład zeby to jo słysoł, a nie inny, no to ideme tam i to przyjdzie tu. Bo różne som, choć to mo jakomś boleść, choć to różnie, to pojde do twoji izby. No to, on tu nie oglondo toto, on chcioł, dobrze siadoj, siednie se tu i my se rozmawiali.

Zdarza się, że zawita także i przysłowiowy kolega z wojska. Takiego ma pan Józef całkiem niedaleko, bo w Krościenku nad Dunajcem: *Jak to widzioł, to go po tym odwróciło mu w głowie myśli, ze fajno to rzec, godo ześ dobrze zrobił. No, nie powiedzioł mi nic, ze co to z tego. Częściej jednak pojawi się członek tutejszej społeczności, zwłaszcza zainteresowany lokalną kulturą, jak na przykład Adam Święty, pracownik urzędu gminy, a zarazem działacz regionalny: *Jo sie ucieszyl tym, to se tak myśle: jo starszy człowiek, stara generacja, a naszed sie młody, ze go to interesuje, i to mnie cieszy – z zadowoleniem komentuje ten fakt nasz kustosz. Dodaje jednak ze szczyptą pesymizmu: *Bedom zawsze tacy, którzy, ale mało ich jest, co myślom o tym, zeby nie zaginyło toto, ale zeby było zawse dostympne, oglondnońć, podyskutować na tyn temat. Być może przesadza z tym pesymizmem, gdyż – jak wspomniałem – moje tutejsze terenowe doświadczenie mówi, że o jego kolekcji wie niemal każdy. Elżbieta Łukuś, która zna swoją miejscowość od podszewki, utrzymuje: *Pan Iwańczak jest naprawdę pozytywnie odbierany, wiele osób go, myślę, podziwia. Co więcej: Pan Iwańczak dał początek czemuś takiemu, że ludzie, którzy gdzieś tam podobnie czuli, jak on, zaczęli****

też tworzyć (...), wydaje mi się, że właśnie ci ludzie, oni może do tego się przyznają czy się nie przyznają, może on był dla nich taką inspiracją – dodaje.

Tym bardziej takie oddziaływanie wydaje się uzasadnione wśród „pokrewnych dusz”. Elżbieta Łukuś, która od czasu do czasu sprowadza do muzeum gości z zewnątrz, dzieli się spostrzeżeniem z jednej z takich wizyt wycieczki z Gniewina na Kaszubach: *Mysmy nie mogli stamtąd wyjść – nam się tak nawiązała współpraca. Jakiś tam był starszy pan, zaczęło mu się coś przypominać, opowiadał, że u nich to było tak, a pan, właśnie, Iwańczak mówił, że u nas tak (...). Trudno było, żeby wyjść z nimi. Po prostu ludzie, którzy są ze wsi i przeżyli jakieś takie podobne dzieciństwo czy coś takiego, no to jest właśnie ten wspólny temat wtedy.* Zróżnicowane, lecz podzielane uniwersum pamięci znajduje w takich przypadkach wypełnienie. Można domniemywać również, iż w tym przypadku nie bez znaczenia jest pochodzenie przybyszów – wszak Kaszuby, podobnie jak Spisz, wyróżniają się swą kulturową pogranicznością, jak również wysokim stopniem poczucia regionalnej, a wśród części mieszkańców i narodowościowej odrębności w polskim krajobrazie kulturowym.

Źródła tejże odmienności, już własnej, poszukują w muzeum pana Iwańczaka i jego ziomkowie, zwłaszcza niektórzy reprezentanci młodszego pokolenia, którzy zainteresowani są przeszłością, również kulturową, wsi i regionu. W Niedzicy, jak w każdej spiskiej wiosce, istnieje zespół regionalny, tutaj o nazwie „Czardasz”, który kilka lat temu obchodził jubileusz dwudziestu pięciu lat działania. Postanowił uświetnić to wydarzenie nagraniem audio-video dwóch scenek obrzędowych: wigilijnej i związanej z nowo narodzonym dzieckiem (*z radośnikami*). *Mamy w Niedzicy taki a taki skarb, taki kawałek historii* – podkreśla jedna z członkiń zespołu, Danuta Milaniak. Chodzi oczywiście o muzeum pana Józefa, które zostało wybrane na miejsce realizacji filmów, dołączonych następnie do jubileuszowej książki poświęconej „Czardaszowi” [Waniczek 2014]. Sam nasz kustosz służył tutaj zresztą za eksperta w sprawach dawniejszej obrzędowości, towarzysząc realizacji nagrań, sugerując pewne korekty przebiegu odtwarzanych praktyk. Można by rzec, iż on sam, jak i to miejsce spełnili funkcje łączników między pokoleniami, a nawet swoistych przekaźników postpamięci. Tym bardziej, że dla niektórych ze stosunkowo młodych członków zespołu muzeum pana Iwańczaka jest względnie pełnym, choć zrekonstruowanym reprezentantem dawnego świata. Niektórzy członkowi zespołu, jak Alicja Krzysia-czek, dwudziestodwulatka, pamiętają jeszcze całkiem nieźle podobne wnętrza, na przykład w domu własnej babci, zburzonym dziesięć lat temu:

Wchodziło się, po lewyj stronie był piec, później po prawy stronie tutaj była tako skrzynia. Pamiyntom, ze była umywalka tako staro drew-

niano. Późnij były, na pewno były, patrzonc naprzód był stół, tam był krzyz, ksionzecka do modlynio, okulary babcine. Z prawyij strony były pościele składane (...). Późnij tyz od pieca, jak było wejście na lewo, to jest tam drugo izba, czyli, do takiij izby nie wolno było wchodzić – to była wielko izba, bioło izba. Tam nie wolno było wchodzić. Tyz był stół i na stole były tak: kwiotki, krzyz i dwie świycy. I wysprzontane i najlepij zamkniynte.

Podobnie Danuta Milaniak ma jeszcze całkiem żywe wspomnienia o starym domu rodzinnym, do których wywołania poważnie przyczyniają się wizyty w muzeum pana Józefa:

Jak byłam u pana Iwańczaka chyba pierwszy raz i widziałam piec, to od razu mi się przypomniała moja prababcia, jak właśnie, to co sobotę, a tak to się na co dzień nie myślało o tym w ogóle, że właśnie co sobotę babcia i te wszystkie te cioski do wyciągania węgla, i te łopaty, i wszystko, i właśnie to wspomnienie babci (...). No bo dużo było takich rzeczy, co ludzie, ludzie, no, powyrzucali, porq̄bali, no bo to dziadostwo, to po co to, nie? I se myślę, jak fajnie, że pan Józef to wszystko zebrał i że jest takie miejsce. No i szkoda, że my tak nie zrobiliśmy. Tak właśnie, ja bardzo lubię takie, w ogóle, jak wchodzę, to ten zapach taki. Niektórych to przeraża, a ja to bym tam mogła sobie tam właśnie siedzieć i siedzieć. A jeszcze jak jest ktoś taki, co opowiada. (...) zapach staroci (...). Na przykład ta lalka, co leży w kołysce, to ma na głowie cepiocek [czepek – JB], no nie? To podobno dawniej, jak byłam mała, to wszystkie dzieci miały do chrztu. A teraz, to w ogóle, jak ktoś takie ma, no to dziwnie. A to też mówił, że to chyba ciotka Łopatowa szyla.

Poszczególne artefakty wywołują niemal zmysłowe doznania i przywołują często niezwykle szczegółowe obrazy przeszłości, mówiące coś o dawniejszej codzienności, obyczajaju, pracy. Zapewne nie przypadkiem ujawnia się wciąż kulturowa „moc” dawnego pieca kuchennego, zrekonstruowanego przez pana Iwańczaka, który również jest silnie obecny w pamięci Marii Waniczek, założycielki wspomnianego „Czardasza”:

Piec, piec – ale potem już był kaflowy. Ale jeszcze tamten jak przez mgłę pamiętam. Garnki, te, te właśnie, jak by to wytłumaczyć – takie osmolone tym, tą czarną taką sadzą. Ja pamiętam jeszcze, jak był stary piec, to się gotowało tak, żeby szybko była zupa albo ziemniaki, a jak się rano chciało zrobić kluski czy dziadki, to się te kółka takie wyciągało z blachy, tam się wsadzało garnek i on właściwie był w środku ognia i to się szybko gotowało. Jak było ugotowane, wyciągało się, zakładało się te trzy kółka, bo to były tak specjalnie robione blachy, i piętnaście, dwadzieścia minut

i frystyk był, czyli śniadanie. Więc ja pamiętam dokładnie – ja się też męczyłam z tymi kółkami, ale to tak, jak dziewięć, dziesięćlatka – zawsze trzeba je było pogrzebaczem wyciągać, zawsze krzyk: uważaj, bo się poparzysz, nie? No, bo to gorące.

Zgromadzone artefakty, reprezentujące często konkretne osoby i zdarzenia, przenoszą jeszcze metonimicznie dawny świat w czas dzisiejszy i zdarza się – robią to nawet z użyciem wehikułu zmysłów, skoro zapach wzbudza pewne doznania i stany, nie mówiąc już o wzroku łączącym obrazy z przeszłości z tymi dostrzeżanymi we wnętrzu izby czy strychu muzeum. Ścieżka postpamięci biegnie i poprzez wspomnienia innych, zwykle starszych, na przykład rodziców, lecz już to wystarczy, by móc odtworzyć owe obrazy: *Nie wiem, jak wyglądała moja kołyska, ale wiem, że byłam bardzo niegrzeczna i trzeba mnie było całą noc huścić. I mama z tatą mieli dyżury – przywiązywali rzemyk do ręki i przez całą noc – wyznaje Danuta Milaniak. „Arka” pana Iwańczaka przewozi przez burzliwe wody upływających lat w idylliczną przeszłość, choć na chwilę: U pana Iwańczaka tak jest fajnie, tylko że się wychodzi na zewnątrz, to już jest koniec bajki, nie? I wszystko zamyka się w tym środku – komentuje z żalem. Możliwa jest wszak i żegluga w odwrotnym kierunku, o której wypowiada się następująco:*

Na starość, jak przejdę na emeryturę [ściszony śmiech – JB], to chcę mieć właśnie taki jeden pokój. I mam takie meble już, tylko że, no, bo to z domu po teściowej i ona mówi, że są brzydkie i trzeba je wyrzucić. Ale ja ich nie wyrzucam, bo trzymam taki cały komplet: szafa, łóżko i stół, i takie dwie małe szafki, no, i wszystko. Właśnie mam zrobić sobie taki pokój i sobie będę mogła właśnie robić takie swoje rzeczy. Ale taki właśnie, żeby był stary: z drewnianą podłogą, ze starą lampą i starym zegarem, takim, takim, takim właśnie starym, którego jeszcze nie mam, ale mam nadzieję, że go gdzieś zdobędę i, no, takie właśnie mam.

Wzmianka o zegarze chyba nie jest przypadkowa, jeśli wrócić do przytoczonego wcześniej wspomnienia małej Danusi o sprzedaży starych rzeczy przez dziadka, wśród których szczególnie zapamiętała zegar właśnie.

Nie dla wszystkich jednak osób młodszego pokolenia, choć dorosłych, którym przydarzyło się być w muzeum pana Józefa, doznane doświadczenie przywołuje wspomnienia z przeszłości. Nie oznacza to jednak zaniku funkcji wnętrza i zgromadzonych artefaktów jako wehikułów postpamięci. Dobrą tego ilustracją może być wypowiedź Marii Madej, żony siostrzeńca pana Iwańczaka:

Ja po prostu się poczułam, jak bym była, nie wiem, pięćdziesiąt lat temu, w czasie się przestawiłam. Jak sobie wyobrażałam te przedmioty i jak ludzie pracowali, i w tej izbie jak się kręcili, przy stole, w jednej (...).

*I spanie, i kucharzenie, i jadalnia były w jednym miejscu, i mycie (...).
Tak sobie właśnie wyobraziłam, jak to mogło być.*

Nawiasem mówiąc ów siostrzeniec jest właścicielem niewielkiej restauracji wybudowanej w miejscu, w którym znajdował się stary dom Łopatów, którego powagę i sosręb ocalił nasz kustosz, umieszczając je w zrekonstruowanej izbie. Ściany restauracji z kolei ozdabiają oprawione zdjęcia rodzajowe Niedzicy i jej mieszkańców, pochodzące ze zbiorów pana Józefa. Ma tutaj zatem miejsce fakt osobliwej zamiany miejsc z równoczesnym zachowaniem ciągłości kulturowej. Oto pozostałości dawniejszego domostwa zostają zmuzealizowane, ocalone od zniszczenia, lecz zarazem nowy budynek, który je zastąpił, stał się miejscem ekspozycji wizualnej przeszłości.

Poleganie jedynie na mechanizmie postpamięci nie musi być przeszkodą w realizacji takich zamiarów, jakie wyraziła Danuta Milaniak. Oto przez muzeum przewinęło się grono osób szukających inspiracji nie tylko dla sposobów zagospodarowania własnych, zwykle nieporównywalnie skromniejszych zbiorów. Do nich należą na przykład wolontariusze z Łapsz Niżnych, którzy doprowadzili do renowacji tamtejszego XIX-wiecznego sypanca należącego do parafii i stworzenia z niego miejsca spotkań mieszkańców i lekcji muzealnych, lecz także ekspozycji zarówno przedmiotów i szat liturgicznych, ksiąg religijnych i dokumentów parafialnych, jak i „zwykłych” obiektów codziennego użytku. Przy okazji była to forma uczczenia 700-lecia powstania wsi – „wielka” historia połączyła się tutaj z tą „małą”, reprezentowaną przez kolekcję pana Iwańczaka. Organizatorzy, wzorując się na atrapie pieca przez niego sporządzonej i jego instruktarzu, poszli przy tym dalej i zbudowali prawdziwy piec, który spełnia wszystkie jego dawniejsze funkcje. Stąd w trakcie spotkań posilają się upieczonym w nim chlebem, nie mówiąc o dawanej przez niego ciepłe, które od dawna emitują powszechnie w tutejszych domostwach kaloryfery. Odnowiony sypaniec stał się zresztą miejscem zebrania, zajęć edukacyjnych dla młodzieży szkolnej, a nawet biesiad, podczas których podejmuje się decyzje w sprawie podejmowanych działań kulturalnych, koncertów, inscenizacji religijnych. Zwłaszcza w tym ostatnim przypadku rola pana Iwańczaka nie ogranicza się wyłącznie do ogólnej inspiracji. Jego kolekcja służy również rekwizytami, jak na przykład kołyską, której potrzebowali organizatorzy dla przedstawienia jasełek.

Charakterem wystroju dawniejszych wnętrz i detalami architektury zainteresowani są również ci, którzy wznoszą całkiem nowe domy. W niektórych z nich natrafić już można na ich adaptacje. W szczególności ponad stuletni sosręb i jego ornamentyka, wykazująca znamiona autentycznego arcyzmu, jest tutaj przedmio-

tem uwagi. Podobnie rzecz się ma z elementami ruchomymi dawnej kultury, jak lokalne ubiory. Adam Świąty, na przykład, wykorzystał sukmanę, która służyła dziadkowi pana Józefa, jako wzoru dla uszycia jej identycznej wersji na użytek występów w „Czardaszu” czy uczestnictwa w świętach rodzinnych i religijnych. Sam twórca muzeum, żywa encyklopedia wiedzy na temat dawniejszej lokalnej kultury, okazał się również wielce pomocny w opracowaniu słownika gwary spiskiej. Wreszcie idea samego omawianego muzeum rodzinnego zdaje się promieniować, skoro spotkałem się z deklaracjami kilku innych osób zamiaru stworzenia podobnych zbiorów, potrzeby ocalania resztek przemijającej lokalnej kultury. Potwierdza to wypowiedź Zofii Kuziel, sekretarki w szkole podstawowej w Niedzicy, o przełomowym znaczeniu kolekcji: *Kiedy pan Iwańczak zaczął to udostępniać, to dopiero wtedy większość ludzi się obudziła (...). Miał w sobie coś takiego, takie zamiłowania i takie, taką myśl o pamięci, żeby to nie zniszczyło się, co mój dziadek miał i mój ojciec.* Można by rzec, iż wyprzedził swych współczesnych.

Powyższe tęsknoty i realizacje mają oczywiście coś z refleksyjnego projektu, intencjonalnie podjętych zamysłów rekonstrukcji, budowania kapitału kulturowego dla obecnych i przyszłych pokoleń. Wyraża się to w nader kontradyktorycznej wypowiedzi Krystyny Milaniak, szefowej Gminnego Ośrodka Kultury: *Sceneria jest autentyczna, bo jest odtworzeniem tamtych czasów.* Należy wszakże stwierdzić, że owo *autentyczne* trzeba by odczytywać raczej jako rodzaj konwencji językowej, albowiem odtworzenie z autentyzmem nie całkiem idą w parze. To już jest pewna pedagogiczna maniera regionalistyczna – ideologiczne obramowanie pozwalające takie sprzeczności znieść. Zresztą, czyż w obliczu intensywnej zmiany kulturowej nie tylko na Spiszu, tradycji wynalezionych, primordializmów i indygenizacji nad pojęciem autentyzmu nie łamią sobie dziś głów najtęższe umysły naukowe? Fakt pojawienia się świadomości czy też samoświadomości znaczenia przedmiotów oznacza zarazem istotną zmianę w charakterze partycypacji kulturowej. Oto lokalna kultura, jeszcze kilka dekad wstecz wiodąca żywot zrozumiałej samo przez się oczywistości, a w pewnych wymiarach (np. religijnym czy życia rodzinnego) odczuwana jako rodzaj uświęconej księgi, traci formę tradycji – niekwestionowanego zbioru treści, wartości, dóbr, a zyskuje formę dziedzictwa – zasobu, który służy refleksyjnemu pożytkowaniu wybranych elementów tejże tradycji. To one znalazły swe miejsce w kolekcji pana Iwańczaka, dostrzec je można również na scenach organizowanych festynów i pokazów folklorystycznych, w oprawie ceremonii religijnych, repertuarze kulinarnym wesel i innych uroczystości rodzinnych czy – *last but not least* – w lokalnej gwarze.

„Dziedzictwo rozumiem jako sposób produkcji kulturowej odwołujący się do przeszłości i produkujący coś nowego. Będąc sposobem produkcji kulturowej, dziedzictwo zwiększa wartość tego, co przebrzmiało, zamieniając je w wystawę” – pisze Barbara Kirshenblatt-Gimblett [2011: 126]. Odniesienie do wystawy jest szczególnie adekwatne w naszym przypadku, choć amerykańska folklorystka rozumie ją szerzej – jako wszelkie zmuzealizowane formy praktyk kulturowych, co bynajmniej nie oznacza ich „pasywności”. Produkują bowiem coś nowego – jak zauważa badaczka – w nowym czasie, kontekście społecznym, przez nowych aktorów. Bywa, że jest to to samo, choć nie tak samo, jak choćby nieprzerwany proces uzgadniania własnej tożsamości. Dziedzictwo kulturowe rozumie się zwykle w perspektywie makro: epoki, narodu, regionu, wszelako może dotyczyć i takiej mikroskali, jak rodzina – dziedzictwo osobiste [por. Timothy 1997]. To ono składa się na zrąb dyskutowanej kolekcji, choć – jak już wiemy – wykracza poza wąski krąg rodzinny. Przy czym w obcowaniu z nim jak w soczewce znajduje wyraz wspomniane powyżej charakterystyczne percepcyjne przesunięcie, które można również dostrzec w metajęzykowym podejściu do własnej kultury rozumianej już, choć nie koniecznie wprost, właśnie w kategoriach dziedzictwa. Ujawnia się to w takich wypowiedziach, jak Danuty Milaniak, która – przypomnijmy – jest zarazem lokalną działaczką regionalną i członkinią „Czardasza”. Mianowicie, posługuje się czasem słownictwem dobrze wyrażającym refleksyjny i zreifikowany stosunek wobec spuścizny kulturowej – kontemplowanej, ale i teatralizowanej zgodnie z kanonami i wartościami jej estetyzującego ujęcia, znajdującego wyraz na licznych przeglądach i festynach folklorystycznych:

Mamy scenkę, rekwizyty, mówi się dziecku: weź to do ręki, a ono nie wie, co to jest. Nie? To choćby takie, takie właśnie. A jak się tak by go wzięło do pana Iwańczaka, żeby to pokazać. Wiadomo, że dziecko nie zapamięta wszystkiego i nie będzie wiedziało i sobie nie wyobrazi, jak było. No bo jeżeli, jeżeli będzie mogło samo spróbować, to myślę, że to bardziej zapamięta, niż tak tylko z rysunku, nie?

Określenia *scenka, rekwizyty* to już – by tak rzec – metapoziom partycypacji kulturowej, choć przecież nie pozbawionej emocjonalnego stosunku do przeszłości własnych przodków, terminy, które są widowym znakiem przesunięcia w kierunku autorefleksji i samoświadomości. Reprezentowany przez nie świat pełni wszak wciąż żywot nieco podwójny, *rekwizytów* i *real things*, co dobrze oddaje wypowiedź przywoływanej już innej członkini „Czardasza” Alicji Krzysiaczek, wypowiedź, w której wybrzmiewa performatywna moc starych, „prawdziwych” rzeczy towarzyszących odgrywanym scenkom rodzajowym, odnosząca się bez-

pośrednio do mikrokosmosu stworzonego przez pana Józefa: *Jak mielibyśmy nowy stół, nowe krzesła, to nic z tego. Inaczej się odgrywa scenkę, jak się jest w miejscu takim, gdzie jest przeznaczone specjalnie, fajnie i ładnie to wygląda – inaczej się człowiek czuje.* Ta moc nie pozostawia obojętnym nikogo, nawet wójta, Jakuba Jamroza, trzydziestolatka raczej poszukującego nowoczesnych perspektyw dla gminy, choć spoglądającego również za siebie: *Żywa historia. Deski na przykład na podłodze, gdzie sęk już wytarty – prawie pół centymetra wystaje z tej podłogi, bo jest tak wytarta, a jednak to są ciągle te same deski, gdzieś tam z dawna, dawna, dawna.* Wtóruije mu Adam Święty, pokolenie wójta, dla którego muzeum zdaje się archetypicznym ucieleśnieniem niegdysiejszej idylli:

Nawet ta głupia, że tak powiem, podłoga, można powiedzieć, ale też jest związana z miejscowością, z naszymi przodkami (...). Każdy nawet kawałek drewna jest bliski, no bo to też to, że się udało uratować przed zniszczeniem (...). Z każdej, że tak powiem, deski nawet trzeba się cieszyć, że ona została i że została spożytkowana w taki sposób, a nie inny. Że była taka osoba, jak pan Iwańczak, że się tym zajął.

Stąd już nie daleko do refleksji o potrzebie edukacji, która ma wypełnić miejsce zwolnione po automatyzmie niegdysiejszej – jak powiadają socjolodzy – pierwotnej socjalizacji. Nie przypadkiem zatem w scenkach teatru obrzędowego, który zdarza się przedstawiać „Czardaszowi” na rozmaitych festynach czy przeglądach, swoje role mają i dzieci. Nigdzie bardziej naocznie i zmysłowo, niż w muzeum pana Iwańczka, nie mogłyby doświadczyć owych rekwizytów i ich kontekstów, choć już w trybie raczej socjalizacji wtórnej. Ma tego świadomość wójt, któremu *zaświtało w głowie, że tam by można było faktycznie jakieś takie warsztaty dla dzieciaków próbować organizować, w takich mniejszych grupkach na przykład.* W rzeczy samej, to się już poniekąd dzieje, czego wójt nie jest – jak widać – do końca świadomy: muzeum nawiedza i najmłodsze pokolenie, tutejsza młodzież szkolna, w ramach lekcji historii, ścieżki dydaktycznej z zakresu kultury regionalnej czy kółka historyczno-przyrodniczego [il. 35]. Nasz kustosz wynosi z tego pewne obserwacje, podszyte filozoficzną nutą:

Małe dzieci, to jedni sie, lotali tak jakby ino u góry to se poloto, a drugi już: a co to, a tu – sie pyto – a na co to? No to już można w nim przewi-dzieć, że to jest człowiek, który myśli, że jak to nase życie, w ogóle, jak to z cego sie to składo wszystko do kupy. Tak można powiedzieć. Nie wiym z tego, że sie, że sie pracuje, że trzeba jeść, że trzeba spać, ale jesce ku tyemu jest tyn dodatek jakiś, jakisik dodatkowo, żeby coś, jo se tak myślał, panie, no coś zostawiym po sobie, nie? Coś zostawiym. Bo tak to tak zgaśnie człowiek i tak i koniec.



Il. 35. (fot. Janusz Barański)

Pedagogiem, głównie pojawiający się tutaj z dziećmi, jest Elżbieta Łukuś, która ma również prawo do poczucia więzi ze stworzonym w muzeum lokalnym mikrokosmosem:

Kiedy się dowiedziałam, że powstało to muzeum, no to przede wszystkim, no taka, nie wiem, moja myśl była, że no coś uratował, ochronił, zebrał, przekazał dla następnych. Potem, jak tam poszłam i zobaczyłam wnętrze, to się znów z kolejnej rzeczy ucieszyłam, że tam są pewne elementy, które się wiążą z moim dzieciństwem. Bo jak byłam dzieckiem, to naprzeciwko pana Iwańczaka stał stary dom mojej rodziny Łopatów. Oni wyjechali do Stanów. I tam właśnie ten sosręb jest, właśnie, z napisem od Łopatów (...). To było takie sympatyczne, że coś po prostu ocalił (...). Tego domu już nie ma – w tym miejscu stoi Cafe Late (...). Czasem, jak wejde, to oko mi się zawiesi na tym sosrębie (...). Zresztą do dzisiaj, jak jestem, no to ta myśl mi idzie tam do tej rodziny Łopatów.

„Magia” sosrębu nie powinna dziwić nie tylko z powodu bliskich związków Elżbiety Łukuś z rodziną, w której domu ów sosręb podtrzymywał powałę – wszak wyrzeźbiona na nim rozeta (*słonecko*) symbolizuje oś świata [il. 36]. Ta symbolika pobrzmiwa nie wprost w wyznaniu: *Ja w nim taką czułam historię, bo tam jest napisane imię, nazwisko – kto ufundował, data powstania, ważność tego sosrębu, że*

*tam trzymano te jakieś ważne papiery czy jakieś pieniądze czasami wkładano za to. Lecz nawet i dzieci odwiedzające muzeum intuicyjnie odczuwają jakąś contagialną łączność rzeczy zarazem z tamtejszym czasem i ludźmi. Oto jeden z chłopców wyraża się w antropomorfizującej manierze, iż zgromadzone artefakty *dużo przeżyły i dużo wiedzą*. Poproszony o przybliżenie tego sformułowania sięga po zgoła symbiotyczną czy też symetryczną formułę, że przedmioty te wyrażają, *jak żyli inni ludzie*. Ale też owa „magia” przyjmuje postać choćby zwykłej tajemniczości artefaktów, których pierwotne funkcje często już zanikły: *Tam były takie różne rzeczy w kuchni, co używali dawniej, to większość rzeczy nie wiedziałam, co jest – przyznaje szczerze jedna z uczennic. Jeden z jej kolegów miał już nieco większe problemy ze sformułowaniem równie lakonicznej wypowiedzi, która – siłą rzeczy (choć należałoby tutaj raczej mówić o eksplicytniej słabości starych rzeczy dla dziatwy szkolnej) – pozbawiona jest oczywistości denotatów, za którymi stoi niekoniecznie eksplikowalna kompetencja kulturowa. Stąd też właśnie i trud mozolnej eksplikacji, niezbędny wobec nieznamomości nazwy przedmiotu oraz jego już kulturowej obcości, tutaj – żaren: *Najbardziej przykuł moją uwagę taki młynek do zboża, taki, co było, na takim, kamień był ręcznie okrzesywany. Był na takim drewnie, co się kręciło takim palikiem*.**

Ważniejsze jest jednak coś innego – wskazywane wcześniej przemieszczenie w obrębie semantyki artefaktów od metonimii (indeksu) do metafory, co ostatecznie składa się na nowy sposób ich zakodowania. Poszczególne przedmioty nie muszą zatem w trybie denotacji odsyłać do konkretnych czynności gospodarskich czy wytwórczych i konkretnych osób, nie muszą już znaczyć po prostu orki (pług), żęcia (sierp, kosa), młocki (cepy, wialnia), przemiału (żarna), wypieku (dzieża), lecz konstytuują w trybie konotacji znaczenia nowe, ogólne: codzienny znój, ciężką pracę, poświęcenie rodzinie czy nawet wiarę religijną. Te znaczenia są efektem synergii samych artefaktów i prowadzonej o nich narracji świadka, jakim jest pan Iwańczak, na przykład na kanwie całego procesu produkcyjnego chleba, począwszy od siewu ziarna, procesu, który przedstawia w szczegółach odwiedzającej go młodzieży szkolnej kończąc stwierdzeniem, że chleb przed spożyciem należało niegdyś przeżegnać. By sięgnąć tutaj do ustaleń Tańczuk: „przedmioty w kolekcji zachowują zawsze swój indeksalny charakter, pozostają w relacji metonimicznej do kontekstu pochodzenia. Jednak metonimiczna relacja zostaje podporządkowana relacji metaforycznej, gdy przedmiot wchodzi do zbioru i wraz z innymi elementami tworzy znaczącą strukturę, której zadaniem jest przedstawienie niedostępnych inaczej abstrakcyjnych całości” (2011: 201). Niech przykładem rzeczywistego przedstawienia owych całości będzie stwier-



Il. 36. (fot. Janusz Barański)

dzenie jednej z uczennic, że ludzie w czasach, do których odsyła kolekcja, żyli ciężko, skromnie i szczęśliwie.

Przedmioty materialne okazują się zasobnikami niematerialnych idei, obiektami heurystycznymi służącymi wytwarzaniu określonej wiedzy (por. Jannelli 2012: 107). Dzieje się tak nie tylko w drodze muzealnego instruktażu, ponieważ – podobnie jak to miało miejsce w przykładach Christiny Kreps z Papui-Nowej Gwinei – uczniowie mogą oczywiście brać eksponaty do rąk, oglądać je, sprawdzać ich działanie. Mogą zmierzyć się z zaklętą w nich przeszłością – wioski, regionu – w jakiś sposób ją „otworzyć”, „aktywować”, przysposobić do wymogów teraźniejszości, czego mieliśmy już wcześniej pewne przykłady. Odnośnie możliwego użytku za sprawą młodzieży szkolnej warto przywołać przykład inicjatywy sprzed niemal dziesięciu lat, gdy to grupa podopiecznych Elżbiety Łukuś nakręciła krótki film *Muzeum pana Iwańczaka*, zrealizowany w ramach międzynarodowego projektu *Archilandia*, który został następnie umieszczony na portalu YouTube. Nic dziwnego, że film spotkał się z żywym odbiorem w środowisku spiskim również za oceanem. Tym sposobem kufry podróżne znajdujące się w kolekcji, które z górą wiek temu trafiły do rodzinnych zasobów, wróciły – by tak rzec – w postaci cyfrowego przekazu wizualnego do miejsca pochodzenia. Można odnieść wrażenie, iż inaczej niż w typowym (czytaj: „naukowym”) muzeum, gdzie odczuwa się –

jak powiada Jannelli – „zimny oddech przeszłości” (2012: 241), tutaj, w muzeum „nieoswojonym”, przeszłość wytwarza ciepłą atmosferę, wciąż nieco swojską i – co najważniejsze – oferującą spotkanie. Idea, przypisana przez Jamesa Clifforda muzeum jako miejsca spotkania właśnie (*contact zone*), i to światów z różnych czasów, wybrzmiewa tutaj z całą mocą [1997: 213].

Misja

Wróćmy raz jeszcze do ustaleń jednego z obecnych tutaj teoretyków, Susan Pearce, które okazały się pomocne w porządkowaniu tytułowego tematu pod względem materialności kolekcji, jej charakteru narracyjnego, pamięciowego, społecznego, tożsamościowego czy aksjologicznego. Pearce wyodrębnia trzy aspekty kolekcjonowania: rozciągniętą w czasie praktykę społeczną, rodzaj poetyki, poprzez którą jednostki definiują siebie oraz element aktualnej i przyszłej polityki wartości.

Pierwszy aspekt dotyczy strategii, które mają służyć połączeniu potencjału obiektów oraz struktur społecznych – stosunków rodzinnych, prestiżu czy praktyk religijnych – w podtrzymaniu wzoru społecznego oraz jego trwania na przyszłość [Pearce 1995: 28]. Niech za przykład posłuży monarsza biżuteria królowej brytyjskiej, stanowiąca autonomiczną kolekcję, przechowywana na co dzień w zamku Tower. Królowa nosi ją w ważnych oficjalnych okolicznościach, jak inauguracja obrad parlamentu, uroczystości religijne itp. Używana przez wiele pokoleń monarchów, jest niczym magiczny zwornik społeczeństwa i państwa, uosabia jego trwałość i stabilność. Ważne uroczystości i akty państwowe bez tej biżuterii nie mogłyby się odbyć [por. Pearce 1998: 44]. W skali niepomniernie mniejszej – nie państwa, lecz rodziny, a co najwyżej niewielkiego regionu, jakim jest Spisz – podobną rolę odgrywa kolekcja pana Iwańczaka, która pełni rolę „zasobu społecznego” [Jannelli 2012: 309], elementów określających, co znaczy bycie dobrą wspólnotą, który ma być przekazany rodzinie i społeczności dziś, jak również przyszłym pokoleniom. Zarazem po części „przeciwstawia się” temu, co współczesne, będąc nie jedynie muzealnym świadectwem odsyłającym do minionych czasów, lecz moralnym uzasadnieniem ostrożnego stosunku wobec współczesności, forum przemawiającym mową artefaktów o niegdysiejszych: prawdzie, dobru i pięknie. Nieraz ten krytyczny stosunek wobec współczesności, z równoczesną apologią przeszłości, znajduje wyraz w wypowiedziach pana Józefa:

Brakuje teraz we wspólnocie takięgo żywygo słowa miyndzy sobom, jak to sie mówi. Dawniuj to było inacy. Jak nie było telewizorów, radiów, to sie poschodzili. I to żywe słowo to jest wiyncyj niż obraz (...). Wyjdzie sie wieczór, może być ciepło na polu, a puste ulice. To siedzi każdo rodzina

sama. Mało kto idzie jedyn do drugiego. To jest zjawisko takie negatywne, mocno negatywne (...). Coroz wiyncyj jest, wicie cego – sporów, takich sporów. Oni nie po sondach idom, ale tyn sie o to tu, tyn o to, dawnij nie było tyle tego. To jo nie pamiyntom. Wiyunksza zgoda była. Jedyn drugiyemu ustompił

Dalej mamy poetykę kolekcjonowania, której w naszym przypadku warto poświęcić nieco więcej uwagi, gdyż wiąże się z silną dozą podmiotowości, która pociąga sprawczą moc kolekcjonera, choć i odbiorca nie jest uczestnikiem biernym. Chodzi zatem nie tylko o sposoby doświadczania praktyki kolekcjonowania i zdawania z tego sprawy, lecz również znaczenia tej praktyki dla samych kolekcjonerów – jak wpływa to na ich życie oraz jak ma się całość nawyków kolekcjonerskich do praktyki społecznej. Jak każda poetyka wymiarów ma również rys „fikcjonalny”, a zatem i symboliczny kolekcjonowania – zespół wyobrażeń, które wytwarzane są przez kolekcjonerów na temat ich zbiorów. Pearce sięga często w swych analizach po repertuar kategorii semiotyczno-strukturalnych, stąd też temu rodzajowi kolekcjonerskiej fikcji przydaje znamiona językowo podobnej narracji, „strumienia świadomości” zależnego od zdolności kolekcjonera, który posługuje się obiektami niczym językiem, tworząc i projektując wizerunek siebie samego oraz swój pogląd na świat [1995: 32]. W tak zaproponowanym ujęciu kolekcjonerska poetyka przedstawia się głównie jako domena jednostkowej twórczości, niczym twórczość literacka, a szerzej – artystyczna.

Fakt istnienia tego aspektu kolekcji potwierdza również polska badaczka, Dorota Folga-Januszewska, odnosząc się do samych pierwocin instytucji muzeum: „Pojęcie *musaeum* oznaczało także zbiór historii (opowiadań) znanych pisarzy przeszłości, zebrany – dzięki opiece i inspiracji muz – przez Akidamasa z Elei, ateńskiego sofistę (IV w. przed Chrystusem). (...) Przemiany cywilizacyjne i przeniesienie centrów rozwoju kultury do Europy średniowiecznej bynajmniej nie zmieniły w zasadniczy sposób tej ‘pierwszej’ roli muzeum jako miejsca spotkania ‘opowiadań’ z przedmiotami” [2015: 63]. Również Jannelli podkreśla ten aspekt stwierdzając, że „muzeum to miejsce opowiadania par excellence” [2012: 210], a nawet że narracja przewodnika należy do tej samej klasy działań, co narracja literacka [2012: 248]. Jeżeli przyjmiemy tę quasi-literacką konwencję, to warto zauważyć, że pisarz pełni zawsze w jakimś stopniu rolę podmiotu czynności twórczych. Tego zaś na gruncie literaturoznawstwa Aleksandra Okopień-Sławińska określa jako:

zindywidualizowanego użytkownika konwencji literackich. Z perspektywy rzeczywistego przebiegu literackiej komunikacji, której

początkiem jest pisarz, a więc konkretna osoba będąca realnym sprawcą dzieła, podmiot czynności twórczych jest szczególną rolą pisarza realizującą się w toku procesu twórczego i zadokumentowaną przez poetykę utworu, a polegającą na sytuowaniu dzieła wobec całokształtu językowej i literackiej tradycji oraz wobec określonych oczekiwań odbiorców. Cała zaszyfrowana w tekście świadomość metajęzykowa przynależy do podmiotu czynności twórczych i jest niekoniecznie tożsama z rzeczywistą świadomością pisarza, który jak każdy użytkownik tradycji może aktualizować ją w pewnym stopniu bezrefleksyjnie [1988: 361].

Kolekcjonera można określić, podobnie do pisarza, jako zindywidualizowanego użytkownika pewnych konwencji, wprawdzie nie literackich, lecz – w przypadku takiego kolekcjonera, jakim jest pan Iwańczak – kulturowych. Co więcej, można by dalej rzec, iż poetyka jego kolekcji sytuuje się wobec całokształtu regionalnej tradycji oraz w pewnym stopniu wobec określonych oczekiwań odbiorców, a sama kolekcja jest medium samoopisu, tutaj – stanowi szczególny wzorzec kulturowy [por. Jannelli 2012: 293]. Dalej, świadomość metajęzykowa byłaby w rozważanym przypadku w istocie świadomością metakulturową, choć zredukowaną do wymiaru kultury regionalnej, a sama tradycja dotyczyłaby rzecz jasna nie tradycji literackiej tylko lokalnej: rodzinnej, wiejskiej i – raz jeszcze – regionalnej. Innymi słowy, kolekcjoner, nie wyłączając pana Józefa, jest tyleż samoistnym twórcą, co głosem grupy, którą reprezentuje: własnej rodziny, wsi, regionu, a nawet głosem przodków, którzy z istoty rzeczy są go pozbawieni. Choć „przemawiają” na swój sposób poprzez liczne „zmumifikowane” eksponaty: młotki, strugi, portki, sukienki, kołyski – łącząc przeszłość z teraźniejszością, a nawet wychylając się cokolwiek ku przyszłości. Treść tej mowy zdaje się skupiać głównie na adoracji minionej kultury, trwającej w zmuzealizowanej formie, co wzmacniają wypowiedzi samego kustosza oraz niektórych jego akolitów, z troską wypowiadających się o stanie współczesnej moralności, życia sąsiedzkiego, stosunku wobec pracy, wiary religijnej itd. „Przemawiają” również liczni przodkowie, których rozpoznać można na zdjęciach, gęsto wyeksponowanych w sieni przylegającej do izby. Są, niczym w swoistym mauzoleum, jak we wspomnianych specjalnych domach na Archipelagu Malezyjskim, poniekąd obecni przy swoich rzeczach za ścianą.

Powyższe przykłady prowadzą nas do trzeciego aspektu kolekcjonowania – polityki wartości. W samym słowie „polityka” skrywa się doświadczenie i praktykowanie władzy i dotyczy to w szczególności – według Pearce – takiego jej wszechogarniającego komponentu, jaką jest ideologia. O ile praktyka społeczna ukazuje charakter znaczeń nadanych obiektom i kolekcjom w obrębie danej tradycji społecznej, poetyka

natomiast ujawnia sposoby wytwarzania znaczeń w ramach owej tradycji przez jednostki, o tyle polityka kolekcjonerstwa łączy oba powyższe aspekty, ukazując dlaczego i w jaki sposób kolekcjonowane obiekty zyskują zróżnicowaną wartość i ważność. Pearce uważa, iż polityka zadaje następujące pytania: Kto i w jaki sposób uznaje wartości kolekcji? Na czym polega idealna kariera kolekcji? Jak zmienia się nasz stosunek wobec kolekcji [1995: 33]? Przywołane powyżej pojęcie ideologii, podobnie jak wcześniejszą poetykę, należy wszakże interpretować stosownie do kontekstu użycia. Czym innym będzie ideologia spowijająca kolekcję muzeum narodowego, czym innym regionalnego, a jeszcze inaczej należy traktować jej przypadek rodzinny, jak u pana Iwańczaka. Choć i ten nie jest wolny, jak już wiemy, od wartościowań wykraczających poza skalę podstawowej grupy społecznej. Z przytoczonego materiału można wnosić, że na ideologię diskutowanego tematu składałyby się głównie idee: tradycjonalizmu, lokalizmu, regionalizmu, religijności z przewijającym się motywem przewodnim, jakim jest tutaj rodzina.

Dyskutowany powyżej przypadek mówi nam również coś o etapie rozwoju wiejskiej społeczności lokalnej. Fakt kolekcjonowania, który pojawił się wśród jej członków, wskazuje na nową jakość o fundamentalnym znaczeniu. Clifford zauważa, iż „kolekcjonowanie i wystawianie to zjawiska decydujące dla tworzenia się zachodniej tożsamości. Gromadzone artefakty – bez względu na to, czy trafiają do gabloty osobliwości, prywatnego salonu, muzeum etnograficznego, folklorystycznego czy sztuk pięknych – funkcjonują w ramach tworzącego się kapitalistycznego ‘systemu przedmiotów’” [2000: 238]. Jednak według Jannelli, współczesny muzealny boom, zwłaszcza muzeów „nieoswojonych”, to nie tylko kompensacyjna, podszyta nostalgią reakcja na nowoczesność, lecz również świadoma sensotwórcza działalność pasjonatów, autonomiczna praktyka kulturowa. Tak się składa, że diskutowany przypadek podpada pod wskazane kryterium w czasach owego „systemu przedmiotów” – przemysłowo produkowanych, zestandaryzowanych, uniformizujących, w odróżnieniu od tych ręcznie wytwarzanych przez dziada i ojca pana Józefa. Zarazem jednak nie sposób odmówić naszemu kustoszowi poczucia misji, choć sam tym pojęciem się nie posługuje, misji zachowania, upamiętnienia, przekazu ocalonych dóbr, które ucieleśniają rodzinną i lokalną aksjologię. Zresztą mamy i przykłady form kolekcjonowania poza tym systemem, wskazane wcześniej, w świecie przedkapitalistycznym i pozaeuropejskim, pieczołowitego, by nie rzec – nabożnego, zachowywania i przechowywania elementów własnej kultury na użytek współczesnych i przyszłych ich użytkowników. I to bynajmniej nie wyłącznie w ich profanicznej, instrumentalnej funkcji, lecz epifanicznej, służącej kultywowaniu wartości, a czasem podtrzymywaniu mistycznej więzi

z przodkami. Swoje uwagi o pewnym sekretniku, przechodzącym z pokolenia na pokolenie i traktowanym jako rodzaj rodzinnego skarbu, które można by odnieść i do dyskutowanej tutaj materii, zapisała Marta Raczyńska-Kruk:

Chciałoby się rzec: pełne patosu i trwogi postscriptum. Schowana przed światem klepsydra; streszczenie kilku powiązanych ze sobą ludzkich żywotów; skupienie dusz przodków w jednym obiekcie, który – na podobieństwo posiadającego mana oręża bądź melanezyjskich malanggan, rytualnych rzeźb związanych z kultem zmarłych – stanowi rodzaj ciała akumulującego w sobie, niczym naładowana materia, potencjalną energię niejednego martwego przecież człowieka. Na podobieństwo świętej relikwii lub rytualnego „pojemnika” na dusze przodków, przedmiot ten wychodzi poza czas i przestrzeń, aby pośredniczyć między członkami rodzinnej wspólnoty. Stwarza pomost, który łączy powszednie „tu i teraz” z uświęconym przez tajemnicę „kiedyś i tam” [2016: 15–16].

Na szczególny rys nowoczesności w obrębie dyskutowanego tematu wskazuje również Russel Belk: „Fakt, że dowiadujemy się czegoś o sobie, definiujemy się i uprzytomniamy sobie, kim jesteśmy poprzez to, co posiadamy, wydaje się nieodłącznym elementem nowoczesnego życia (...). Zgromadzony przez nas dobytek nadaje sens przeszłości i mówi nam, kim jesteśmy, skąd przybywamy i, być może, dokąd zmierzamy” [1988: 160]. Pytanie Ireny Kucab, *kim jestem?*, staje się w tym kontekście racją bytu w szczególności kolekcji muzealnych. Może to dotyczyć nie wyłącznie klejnotów rodzinnych, lecz również narodowych, choć można wskazać i stany pośrednie lub też przebiegające w poprzek przyjętych kryteriów stratyfikacji społecznej i chronologii historycznej. Nowoczesność to także postęp laicyzacji, któremu nie przypadkiem towarzyszy wzrost liczby muzeów – zauważa badacz tej problematyki, Krzysztof Pomian [2001: 63–64]. To one, a później i inne formy świadomego kultywowania własnej tożsamości – jak rodzima literatura, muzyka czy teatr – zastąpiły nieświadomą, na poły bezrefleksyjną partycypację kulturową, mającą znamiona wiary uświęcającej własną tradycję. Wiedza o sobie nie jest już zrozumiała samo przez się, co niegdyś sprowadzało się do sformułowań *my tutejsi*, a w naszym przypadku – *my Spisoki*, wiedza, której zawartość treściowa była synkretycznym zrostem stosunków społecznych, wierzeń religijnych, folkloru, form pracy itd., odróżniających *nas* od *onych* (np. *Spisoków* od *Połoków*). Otóż nowoczesność podważa ową zrozumiałość samą przez się i niekwestionowaną pewność tego, kim jestem, podsuwając całą paletę innych identyfikatorów tożsamościowych: górala, nauczyciela, prawnika, Europejczyka itd. Wtedy pojawia się konieczność wyboru, a w konsekwencji czasem i multiplikacji ról, co prowadzi do erozji uprzedniego,

względnie homogenicznego świata. Refleksyjna pamięć, wcielająca się między innymi w rozmaite formy muzealizacji, ma ów świat w jakimś stopniu zachować, choćby tylko w zmuzealizowanej formie.

Wyeksponowanie owego „nowoczesnego życia” nie jest przypadkowe, gdyż jego wiodąca postać – dynamiczna, nietrwała, zmienna – dostarcza szczególnych powodów poszukiwania „kotwic pamięci” (*Erinnerungs-Krücke*), których funkcję pełnią – według Jannelli – rozmaite formy muzeów „nieoswojonych”, przedsięwzięć alternatywnych wobec tradycyjnych muzeów „naukowych”, które są elementem projektu nowoczesności [2012: 52]. Do tych pierwszych należy również muzeum rodzinne pana Iwańczaka, oddolnie stworzone, wpisujące się w perspektywę pamięci komunikatywnej najstarszego pokolenia, pozostającego w biograficznym związku z muzealiami, a więc „żywe” w swoisty sposób (por. Assman 2008: 66). To umożliwi skupienie bardziej na człowieku, niż rzeczy samej, co nieustannie wybrzmiewa bezpośrednio i pośrednio z kolekcji pana Józefa, a co leży również u podstaw projektu nowej muzeologii, której credo jest mottem niniejszego tekstu. Rzecz jasna, pan Iwańczak nie ma tego świadomości, a i jest mu ona zbędna. Jest on – by raz jeszcze użyć tego określenia – kulturowym podmiotem czynności twórczych, które są emanacją szerszych procesów związanych przede wszystkim z intensywną zmianą kulturową. Taką misję, głównie opieki nad wspólnym dziedzictwem, nieróżnicowanym pod względem „naukowym”, realizują również inne muzealne projekty tego pokroju: amerykańskie *neighborhood museum*, francuskie *écomusée* czy południowoamerykańskie *muzeo integral*. Publiczność jest tutaj zarówno uczestnikiem, jak i obiektem pracy muzealnej, a sam kustosz jest nowym rodzajem eksperta – mieszkańcem posiadającym codzienne doświadczenie [por. Jannelli 2012: 61].

Elsner i Cardinal, których alegoria muzeum jako arki rozpoczęła powyższe rozważania, piszą: „W przypadku Noego, dzieło kolekcjonowania, które było jego przeznaczeniem, stało się nieodłączne od stworzenia nowego i lepszego świata (...). W micie o Noem jako pra-kolekcjonerze znajdują odzwierciedlenie wszystkie cechy kolekcjonowania: pożądanie i nostalgia, ocalenie i utrata, pragnienie stworzenia trwałego i skończonego systemu przeciw destrukcyjnej mocy czasu” [1994: 1]. Odnosząc te jakości do muzeum sztuki Carol Duncan stwierdza: „tęsknota za kontaktem z wyidealizowaną przeszłością, czy z tym, co przepełnia nieśmiertelne duchy, pełni zapewne rolę dominującą jako bodziec podtrzymujący istnienie nie tylko muzeum sztuki, ale również wielu rytuałów wszelkiego typu” [2005: 295]. Owe nieśmiertelne duchy pokoleń Iwańczaków zdają się obecne w niedzickim sanktuarium mimo, że nie ma ono ambicji bycia muzeum sztuki. Za to przepo-

jone jest rytuałem bardziej niż inne tego typu przybytki – rytuałem ocalania i integrowania wspólnoty rodzinnej, a nawet, choć w mniejszym stopniu, i tej lokalnej. Klasyk badań nostalgii, Fred Davis, dodałby tu jeszcze:

Nostalgia (podobnie jak długotrwała pamięć, podobnie jak wspomnienia, podobnie jak marzenia na jawie) jest trwałym elementem naszych wyobrażeń o sobie, o tym, kim jesteśmy oraz (mimo prawdopodobnie mniejszego wewnętrznego przekonania) dokąd zmierzamy. Krótko rzecz ujmując, nostalgia jest ... łatwo dostępną psychologiczną soczewką ... którą posługujemy się w nie kończącej się pracy konstruowania, podtrzymywania i rekonstruowania naszej tożsamości [1979: 31; za: Belk 1988: 150].

Wydaje się, że polska wieś, polska prowincja, rozumiana jeszcze do niedawna w kategoriach kultury ludowej, nie wyłączając Spisza, przekroczyła pewien rubikon: jej reprezentanci dawności dokonują aktu przejścia w nową rzeczywistość – nieoczywistą i wymagającą pracy koncepcyjnej, wysiłku intelektualnego i organizacyjnego, przewartościowania wartości. To robi pan Iwańczak, choć zwykle podobne działania podejmują dużo młodszy kontynuatorzy jego dzieła i jemu podobnych na różnych niwach lokalnej kultury. Tylko o ile pierwszy (strażnik-świadek) uosabia tę dawność samym sobą, o tyle drudzy (strażnicy-prawodawcy) są już jedynie kronikarzami, którzy z fragmentów minionej historii kulturowej usiłują zachować to, co – według nich – najcenniejsze, poddając to wybiórczej refleksji [por. Barański 2014]. Wprawdzie nasz strażnik snuje swą muzealną opowieść głównie wokół rodziny, lecz nieustanna praca nad autodefinicją, zaklętą w obiektach kolekcji, wyraża również potrzebę zachowania tożsamości grupowej większej skali – wsi czy regionu; również potrzebę znalezienia jakiejś formuły kohabitacji z szerszym, narodowym, a nawet ponadnarodowym otoczeniem. W końcu omawiane zagadnienie dotyczy już społeczeństwa posttradycyjnego, mimo obecności w nim takich obiektów, jak dyskutowane muzeum rodzinne, zanurzone poprzez zgromadzone w nim artefakty jeszcze w świecie tradycyjnym. A owo społeczeństwo posttradycyjne jest – jak utrzymuje Anthony Giddens – równocześnie społeczeństwem globalnym [2005: 389]. Fakt życia rodziny Iwańczaków i na Spiszu, i w Ameryce, i to przecież nie od dziś, jest tego oczywistym dowodem. Przy czym nasz kustosz poprzez swoje dzieło wyraził to, co sam Giddens sformułował w sądzie typowym dla narracji naukowej, że porządek posttradycyjny jest „porządkiem, w którym więzi społeczne muszą być bardziej faktycznie s t w o r z o n e, a nie odziedziczone z przeszłości” (tamże). Nie można już liczyć na bezproblemową tradycję integralną, która mocą autorytetu zapewni spójność,

ciągłość i trwałość grupowej (wspólnotowej, rodowej) tożsamości. Nadszedł czas na jej tworzenie, czego świadomość miał pan Iwańczak na równi z intelektualnym reprezentantem swojego pokolenia (niemal równolatką), słynnym angielskim socjologiem. Obaj wykazują poznawczą przenikliwość, choć ten pierwszy nie wyraża jej wprost, a jedynie poprzez dzieło, które zachowaniu tych więzi ma służyć, stworzone nie w znanej stolicy świata, lecz w górskiej wiosce oddalonej od wszelkich stolic. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że poznanie to dostępne jest w jakimś stopniu każdemu, kto stoi na rozdrożach starego i nowego świata. Dobrze to oddaje wypowiedź Elżbiety Łukuś:

Bo to jest nasza historia, nie wiem, o naszych przodkach mówi. Nie możemy tego zdeptać. Jak się oderwiemy od tego, to będziemy tak jak globalnie wszyscy tacy sami. Ważne, żebyśmy wiedzieli, że mieliśmy takie narzędzia, takie przedmioty, że to nas odróżnia, albo, nie wiem, właśnie łączy z jakąś częścią Karpat.

Czy spełni się tak rozumiana misja pana Iwańczaka i jego naśladowców? Tego nie wiemy, choć niedzickie sanktuarium i mauzoleum zarazem zapewnia do pewnego stopnia ciągłość nie tylko rodzinnej, lecz i regionalnej historii kulturowej. Póki co, do jego „arki” podpływają czasem nieliczni ocaleni ze starego świata. Czy dobije kiedyś do stałego lądu? Pan Iwańczak wsadził na tę „arkę” nie tylko liczne artefakty z przeszłości, które przeżyły swych niegdysiejszych właścicieli, lecz tą „łodź” zdają się płynąć również duchy przodków, jak i duchy jego najbliższych – dzieci i ich dzieci – którzy ciałem są w dalekiej Ameryce. Czy podjęty wysiłek wystarczy do przemiany przodków w przedmioty, a przedmioty w potomków?

Bibliografia

Aristides

1988: *'Calm and Uncollected'*, "American Scholar", Tom III.

Assman Aleida

2013a: *Kanon i archiwum*, w: *taże, Między historią a pamięcią. Antologia*, przeł. A. Konarzewska, Warszawa: Wydawnictwa UW.

2013b: *O medialnej historii pamięci kulturowej*, *taże, Między historią a pamięcią. Antologia*, przeł. K. Sidowska, Warszawa: Wydawnictwa UW.

Assman Jan

2008: *Pamięć kulturowa. Pismo, zapamiętywanie i polityczna tożsamość w cywilizacjach starożytnych*, przeł. A. Kryczyńska-Pham, Warszawa: Wydawnictwa UW.

Barański Janusz

2014: *Janosik na Spiszu: „rytuał estetyczny” a tożsamość regionalna*, „Zeszyty Naukowe KUL”, Tom IV.

Belk Russel

1988: *Possessions and the Extended Self*, “Journal of Consumer Research” Tom II.

1995: *Collecting in a Consumer Society*. London: Routledge.

Belk Russel, Wallendorf Melanie, Sherry John, Holbrook Morris

1990: *Collecting in a Consumer Culture. Highways and Buyways*, Provo: Association for Consumer Research.

Benjamin Walter

1996: *Anioł Historii. Eseje, szkice, fragmenty*, przeł. K. Krzemieniowa, H. Orłowski, J. Sikorski, Poznań: Wydawnictwo Poznańskie.

Bonshek Elizabeth

2010: *Collecting Relations in Melanesia: Making a Contemporary Collection in the Western Highlands of Papua New Guinea*, “Journal of Museum Ethnography”, Tom XXIII.

Clifford James

1997: *Routes: Travel and Translation in the Late Twentieth Century*. Cambridge, MA: Harvard University Press.

2000: *Kłopoty z kulturą. Dwudziestowieczna etnografia, literatura i sztuka*, przeł. E. Dżurak [et al.], Warszawa KR.

Davis Fred

1979: *Yearning for Yesterday. A Sociology of Nostalgia*, New York: Free Press.

Duncan Carol

2005: *Muzeum sztuki jako rytuał*, [w]: *Muzeum sztuki. Antologia*, red. M. Popczyk, przeł. D. Minorowicz, Kraków: Universitas.

Durost Walter

1932: *Children's Collecting Activity Related to Social Factors*, New York: Bureau of Publications, Teachers' College.

Edensor Tim

2004: *Tożsamość narodowa, kultura popularna i życie codzienne*, przeł. A. Sadza, Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Elsner John, Cardinal Roger

1994: *Introduction*, [w]: *cize, The Cultures of Collecting*, London: Reaktion Books.

Folga-Januszewska Dorota

2015: *Muzeum: fenomeny i problem*, Kraków: Universitas.

Gell Alfred

1998: *Art and Agency. An Anthropological Theory*, Oxford: Clarendon Press.

Giddens Anthony

2005: *Życie w społeczeństwie posttradycyjnym*, przeł. W. Zrałek-Kossakowski, „Krytyka Polityczna”, Tom IX/X.

Goethe Johann Wolfgang

1957: *Z mojego życia. Zmyslenia i prawda*, tłum. A. Guttry, t. 1, Warszawa: PWN.

Hecht Anat

2001: *Home Sweet Home. Tangible Memories of an Uprooted Childhood*, [w]: *Home Possessions. Material Culture Behind Closed Doors*, red. D. Miller, Oxford and New York: Berg.

Hoskins Janet

1990: *Agency, Biography and Objects*, [w]: red. W. Keane, S. Küchler, M. Rowlands, P. Spyer, C. Tilley, *Handbook of Material Culture*, London: Sage.

1998: *Biographical Objects. How Things Tell the Stories of People's Lives*, New York-London: Routledge.

Jannelli Angela

2012: *Wilde Museen: zur Museologie des Amateurmuseums*, Bielefeld: Transcript Verlag.

Kaniowska Katarzyna

2014 *Hasło: postpamięć*, [w]: red. M. Saryusz-Wolska, R. Traba, *Modi memorandi. Leksykon kultury pamięci*, Warszawa: Scholar.

Kirshenblatt-Gimblett Barbara

2011: *Od etnologii do dziedzictwa. Rola museum*, przeł. K. I J. Sielicy, „Etnografia Nowa” Tom III.

Kreps Christina

2006: *Non-Western Models of Museums and Curation in Crosscultural Perspective*, [w]: red. S. Macdonald, *A Companion to Museum Studies*, Oxford: Blackwell.

Okopień-Sławińska Aleksandra

1988: *Hasło: podmiot czynności twórczych*, [w]: red. M. Głowiński, T. Kostkiewiczowa, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński, *Słownik terminów literackich*, Wrocław: Ossolineum.

Pearce Susan

1995: *On Collecting. An Investigation into Collecting in the European Tradition*, London and New York: Routledge.

1998: *Museums, Objects and Collections*, London and New York: Leicester University Press.

Pomian Krzysztof

2001: *Zbieracze i osobliwości. Paryż-Wenecja XVI-XVIII wiek*, przeł. A. Pieńkos, Lublin: Wydawnictwo UMCS.

Raczyńska-Kruk Marta

2016: *Stary sekretnik, czyli opowieść o podróżach w domowe zaświaty. Antropologiczny portret rodzinnej pamiątki*, „Maska. Magazyn Antropologiczno-Społeczny”, Tom XXXI.

Ryle Gilbert

1970: *Czym jest umysł?*, przeł. W. Marciszewski, Warszawa: PWN.

Tańczuk Renata

2011: *Ars Colligendi. Kolekcjonowanie jako forma aktywności kulturalnej*, Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego.

Timothy Dallen

1997: *Tourism and the Personal Heritage Experience*, „Annals of Tourism Research”, Tom III.

Vergo Peter

1997: *Introduction*, [w]: red. Tense, *The New Museology*, London: Reaktion Books.

Waniczek Maria

2014: *Niedzickie zwyczaje w Czardaszu*, Niedzica.

Winnicott Donald

1971: *Playing and Reality*, London: Tavistock.

Janusz Barański

Józef Iwańczak’s ‘Arka’ – about a Certain Family Museum in Polish Spisz

The subject of the paper is a private ethnographic collection, assembled over the past years by Stanisław Iwańczak, a retired farmer and a construction worker, in the village of Niedzica, in the southern region of Polish Spisz, displayed in a former farm building. The collection consists of agricultural tools and crafts, furniture, housewares, costumes, utensils, religious pictures, photographs, books, letters, decorations. In the creation of the collection were also involved Mr. Iwańczak’s children, who emigrated to the United States in the 1990s. The conducted ethnographic research shows that the collection plays an important role in preserving not only ancestral identity, but also a wider one – local and regional. The reconstructed traditional interior hosts periodical family celebrations, especially during the annual visits of Mr. Iwańczak’s children, photo shoots exhibitions, local folklore music concerts and school classes concerning the culture of the region. This self-made museum, with collected objects de memoire, seems to be a kind of mental and cultural shelter for the members of the family living abroad, as well as for the local community. The collection is an anchor preventing people from losing the contact with the tradition of the region. It represents the heritage of absence, at the same time playing the role of a transmission belt linking generations, enabling transvaluation of this heritage in the modernized environment.

Keywords: family museum, inclusive museum, collection, cultural heritage, cultural region

